



HARLEQUIN[®]

ŚWIATOWE ŻYCIE[®]



ROMANS
ŻYCIA

ANDIE BROCK

Andie Brock

Romans życia

Tłumaczenie:
Dorota Viwegier-Józwiak

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Isabel jeszcze raz przyjrzała się liczbom na ekranie. Pierwsze etapy biznesplanu zostały wdrożone, prognozy były obiecujące, wszystko znajdowało się pod kontrolą. Była pewna, że zarząd Cassano Holdings będzie zadowolony z postępów, jakie zrobiła.

Wyłączyła laptop i schowała go do teczki. Zerknęła na zegarek. Musiała zrobić jeszcze tylko jedną rzecz, zanim wyjdzie na zebranie zarządu. Wstała i wygładziła spódnice granatowego kostiumu, podeszła do sofy i pochyliła się nad torebką. Usłyszała głucho uderzenia własnego serca, gdy drżącą ręką wyjęła małe opakowanie z reklamówki opatrzonej logo apteki.

Nie zastanawiając się ani chwili dłużej, poszła do łazienki.

- Mamy jeszcze coś do omówienia?

Orlando Cassano oparł się w fotelu. Złoty długopis, który powoli obracał w palcach, odbijał światło, rzucając refleksy po sali.

Nikt się nie odezwał. Po chwili członkowie zarządu zaczęli zbierać dokumenty, odsuwać krzesła, pakować do teczek tablety i laptopy.

- Isabel? - Jego spojrzenie zatrzymało się na młodej kobiecie siedzącej po przeciwnej stronie szerokiego stołu konferencyjnego z przeszklonym blatem. - Czy chciałabyś coś dodać?

- Nie. - Isabel pokręciła głową. - Chyba wszystko już omówiliśmy.

Ale to nie była prawda. Zmusiła się do promiennego uśmiechu, którym obdarzyła zacne grono dyrektorów, finansistów i specjalistów od marketingu z brytyjskiego oddziału Cassano Holdings. Nie miała odwagi spojrzeć w oczy samemu prezesowi, który ścigał ją swoim spojrzeniem, odkąd pojawiła się w sali. Już to było dla niej wystarczająco trudne, a Orlando Cassano najwyraźniej nie zamierzał niczego jej ułatwiać.

- *Bene*. W takim razie na dziś kończymy.

Orlando posłał jej uśmiech, od którego struchlała.

- Świetna robota, Isabel. Zdaje się, że czeka nas długa i mam nadzieję udana współpraca.

Isabel poczuła, jak krew odpływa jej z twarzy.

Dyrektor finansowy siedzący obok niej uściśnął jej dłoń.

- Nieźle jak na początek, panno Spicer - powiedział zadowolony. - Jeśli takie tempo się utrzyma, będziemy mogli renegotjować pani kontrakt.

- Miło mi to słyszeć - powiedziała, zastanawiając się, jak długo jeszcze zdoła utrzymać wymuszony uśmiech. Sześć tygodni temu, gdy podpisywała kontrakt z Cassano Holdings, taka wiadomość sprawiłaby ją w szaloną radość. Ale teraz... Teraz miała wrażenie, że jej świat chwieje się w posadach, a ona usiłuje nie spaść w przepaść.

Sześć tygodni temu oddanie ponad sześćdziesięciu procent udziałów pod kontrolę wielkiej korporacji wydawało się interesem życia. Jej firma, Spicer Shoes, rozwijała się tak szybko, że potrzebowała dużego zastrzyku gotówki.

Była dumna z tego, jak poprowadziła negocjacje. W umowie z Cassano Holdings zagwarantowała sobie prawo wykupu dwudziestu procent udziałów i odzyskania pakietu większościowego, gdy tylko rentowność osiągnie właściwy poziom. W sumie było to łatwiejsze, niż się spodziewała.

Równie łatwo wpadła potem do łóżka prezesa Orlanda Cassano.

Obserwując czubki swoich bordowych zamszowych czółenek przez szklany blat stołu, wiedziała, jak wielki błąd popełniła.

- Cóż, dziękuję wszystkim. - Orlando Cassano odepchnął się dłońmi od blatu stołu i zaczekał. Dobre maniere nie pozwoliły mu wstać, zanim nie zrobiła tego Isabel oraz druga kobieta obecna na tym zebraniu, jego słyńca ze skuteczności asystentka o imieniu Astrid.

Wreszcie sala konferencyjna opustoszała. Isabel przyjęła jeszcze wiele gratulacji, zanim w końcu mogła pozbierać swoje rzeczy, a gdy się do tego zabrała, okazało się, że zostali zupełnie sami.

Wysoki i milczący Orlando Cassano stał teraz na tle wysokich okien i panoramy londyńskiego City. Wyglądał niemal posępnie, ale jak zawsze był elegancki i nieziemsko wręcz przystojny. Głęboka marynarka podkreślała wzrost i szerokie barki, biała koszula kontrastowała z opaloną skórą. Na samo wspomnienie upojnego zapachu jego ciała zaschło jej w gardle.

To był prawdziwy Orlando Cassano. Wytrawny biznesmen, twardy, zimny i zupełnie inny od człowieka, którego poznała na wyspie Jacamar.

Była wtedy kłębkim nerwów, pamiętała to jak dziś. Ale miała wiele pomysłów i sporo entuzjazmu. Nad biznesplanem pracowała tak długo, aż był idealny. Do perfekcji opanowała przemówienie, jakim miała go porwać na tyle, by był skłonny zainwestować w jej firmę.

A potem go poznała... i wszystkie jej wyobrażenia rozplynęły się w ciągu paru chwil. Mężczyzna, którego poznała na Jacamar, był zupełnie inny od wizerunku, który dla siebie wybrała. Wciąż przystojny, ale także zrelaksowany, uroczy, zabawny i tak seksowny, że uginały się pod nią kolana.

Dostrzegła go jeszcze z pokładu motorówki, którą przypląnęła na wyspę. Stał na molo, ubrany w spłowiałe bermudy i koszulkę z krótkim rękawem. Lekka bryza delikatnie poruszała brązowymi, odgarniętymi z czoła kręconymi włosami. Na jego twarzy jaśniał pogodny uśmiech. Wokół było kilka innych osób, część wydawała się czekać na przybicie motorówki, reszta uwijała się jak w ukropie, ale tylko on wyglądał na kogoś, kto mógł przedstawić się jako milioner i biznesmen Orlando Cassano.

Isabel zaczekała, aż pozostali pasażerowie opuszczą motorówkę, i dopiero wtedy zaczęła zbierać swoje rzeczy.

Spojrzał na nią życzliwie i podał jej dłoń, gdy postawiła jedną nogę na zblakłych od słońca deskach drewnianego pomostu. Chwyliła się go mocno, czując ciepło, które przenikało ją na wskroś. To właśnie wtedy wzniecił w jej sercu pożar, którego do dziś nie udało jej się ugasić.

- Strasznie trudno panią złapać, panno Spicer. - Niski głos z lekkim nalotem włoskiego akcentu omotał jej zmysły. - Czyżby

mnie pani unikała? – zapytał z nutą ironii. Byli przecież po imieniu.

Isabel zaczerwieniła się lekko.

– Skądże znowu – odpowiedziała. – Po prostu miałam mnóstwo pracy. Czy to coś złego?

– Oczywiście, że nie, pod warunkiem, że odpowiadasz na moje wiadomości i telefony. Zacząłem się martwić.

Powolnym krokiem przespacerował się do drzwi, za którymi znajdował się pokój asystentki i zamknął je.

Isabel przyjrzała się jego twarzy, gdy stanął naprzeciw. Nie znalazła śladu zmartwienia. Ale to się miało wkrótce zmienić.

– Zapewniam, że wszystko idzie zgodnie z planem.

Przechylił głowę i uśmiechnął się, dając do zrozumienia, że nie o taką odpowiedź mu chodziło, ale Isabel, kontynuowała.

– Produkcja ruszy pełną parą jeszcze w tym miesiącu i...

– Nie mówię o fabryce, Isabel, ani o interesach, jak zapewne zdążyłaś się domyślić. – Przysunął się o krok, zupełnie eliminując wolną przestrzeń, jaka między nimi była. – Mówię na przykład o zaproszeniu na kolację, które zignorowałaś.

Isabel drgnęła, wystraszona lodowato spokojnym brzmieniem głosu. Przed oczami miała teraz skrawek śnieżnobiałej koszuli, węzeł krawata i szerokie barki odziane w drogi garnitur. Orlando doskonale wiedział, jakie robił wrażenie na ludziach, i teraz to wykorzystywał, patrząc na nią z góry.

Pamiętała ten mejl, ale na pewno go nie zignorowała. Najpierw patrzyła długo w ekran, starając się dobrać słowa, aż wreszcie zrezygnowana zamknęła okno poczty. Była zresztą pewna, że gdy Orlando dowie się, co ma mu do powiedzenia, straci entuzjazm.

– Nie odpowiedziałam na mejl, bo to nie miało sensu.

Spojrzał na nią pytająco.

Isabel przełknęła ślinę.

– To, co wydarzyło się na Jacamar... To znaczy... – utknęła. – Myślę, że odtąd powinny nas łączyć tylko relacje zawodowe.

– Tak myślisz? – Niewinne spojrzenie w oczywisty sposób kpiło z jej nieskładnej przemowy.

Miała wrażenie, że znalazł się jeszcze bliżej niej, chociaż mo-

gła przysiąc, że nie uczynił nawet pół kroku. Kolana zaczęły jej drżeć.

- Tak... tak myślę - wyjąkała prawie szeptem.

- A dlaczego tak myślisz?

Położył obie ręce na jej ramionach, uniemożliwiając jej ucieczkę. Ciepły dotyk przenikał przez materiał żakietu i niemal parzył jej skórę.

Isabel znieruchomiała. O ileż łatwiej byłoby zarzucić mu ramiona na szyję i poddać się požądaniu, które tliło się w niej od pamiętnej wizyty na Jacamar. Tylko że to był błąd, który nie powinien się powtórzyć. Znieruchomiała, czekając, aż Orlando ją puści. On miał jednak inne plany i zanim zdążyła sprawę przemyśleć, poczuła jego palce na karku. Przyciągnął ją do siebie władczym ruchem i szybko znalazł jej usta.

To był pocałunek tak pełen niepohamowanej żądzy, że Isabel nie miała wątpliwości, czym by się skończył, gdyby nie okoliczności. Wbrew sobie zamknęła oczy, przylgnęła do jego muskularnej piersi i objęła go w pasie. Wiedziała, że walka nie ma żadnego sensu.

- Tęskniłem za tobą, Isabel. - Gorący szept tuż koło ucha przerwał pełną napięcia ciszę. - Ty chyba też - dodał, napierając na nią tak, że poczuła, jak bardzo jest podniecony.

- Nie! - krzyknęła niemal i z całej siły odepchnęła go od siebie.

Zdziwienie, jakie mignęło w jego oczach, przeszło jej serce.

- Nie możemy tego dalej ciągnąć - powiedziała z całą stanowczością i małymi krokami wycofywała się, usiłując uspokoić oddech i wyciszyć myśli, które były już przy następnym etapie tego szalonego pocałunku.

- Między nami wszystko skończone - z trudem wydobyła z siebie słowa, które brzmiały jak zaklinanie rzeczywistości. Wiedziała, że odrzuca jedyne go mężczyznę, którego kiedykolwiek pożądała.

Orlando szarpnął krawat, który nagle wydał mu się pętlą zaciśniętą wokół szyi, a następnie zrzucił z siebie marynarkę, która pofrunęła na krzesło obok. Nic, dosłownie nic nie układało się

po jego myśli.

Miał nadzieję, że dziś wieczorem uda mu się spotkać z Isabel. Pragnął tego tak bardzo, że aż sam był zdziwiony. To miał być jedyny jasny punkt tego ponurego tygodnia, a teraz okazało się, że mu go odebrała. Specjalnie został w Londynie o dzień dłużej, zamiast od razu po zebraniu ruszyć do Włoch, gdzie czekało go uporządkowanie spraw po zmarłym ojcu.

Z randki chyba nici, pomyślał. Właściwie mógłby jeszcze tego wieczora wsiąść w samolot. Załatwi, co trzeba, we Włoszech, a potem poleci do Nowego Jorku.

Mimo wszystko była to ponura perspektywa. Gdyby wszystko poszło zgodnie z planem, nie musiałby wracać do Trevente. Stare włoskie miasteczko usytuowane w połowie drogi między turkusowymi wodami Adriatyku a ośnieżonymi szczytami Monti Sibillini, było piękne jak z obrazka, ale dla Orlanda nie miało to najmniejszego znaczenia. Podobnie jak górujący nad nim castello, winnica i tytuł Marchese di Trevente, które odziedziczył i o których potrafił myśleć tylko ze wstrętem.

Poczuł narastający gniew, jaki towarzyszył mu zawsze, gdy myślał o tym nędzniku, który śmiał się nazywać jego ojcem. Dawniej kwitnąca posiadłość, która była w rękach rodu Cassano od wieków, pod rządami ostatniego jej właściciela zupełnie zeszła na psy. Winnice były zaniedbane, na łąkach rosły chwasty, a majestatyczny castello Trevente popadł w ruinę.

To był jego przyszły spadek. Na samą myśl o tym, że będzie musiał osobiście pofatygować się do Trevente, targać nim wściekłość. Mimo że zaangażował do sprawy najwybitniejszych prawników, wydawało się, że nie ma innej drogi, jak polecieć tam i przypieczętować transakcję uściskiem ręki z burmistrzem, notariuszem czy innymi świadkami, których wymagały absurdalne przepisy, ustanowione zapewne przed wiekami. Dopiero wtedy będzie mógł wystawić wszystko na sprzedaż i zapomnieć o tej sprawie raz na zawsze.

Uważne spojrzenie skanowało teraz postać, która całą sobą wyrażała niechęć. A więc rzuciła go. To była dla niego nowość, ale zdumienie nie było w stanie zatuszować kłującego poczucia odrzucenia.

Racjonalnym działaniem byłoby uścisnąć jej dłoń i pożegnać się, pomyślał. Ale jego ciało nie reagowało racjonalnie, gdy w pobliżu znajdowała się panna Spicer. Nie wierzył w to, co mówiła. A jeśli miał uwierzyć, musiała podać mu powody. Niech sobie nie wyobraża, że tak łatwo się go pozbędzie.

Isabel przestąpiła z nogi na nogę, odsuwając się nieznacznie, jakby chciała stopić się ze ścianami sali konferencyjnej i stać się niewidzialna. Zauważył, jak nerwowo odgarnęła włosy za ucho, na policzkach pojawiły się ciemne plamy rumieńców, zielone oczy z rozszerzonymi źrenicami patrzyły na niego ze strachem.

Podszedł do stołu i odsunął dwa krzesła.

- Usiądź, Isabel.

Zawahała się, ale po chwili usiadła, założyła nogę na nogę i obciągnęła wąską spódnicę, która przykryła kolano.

Siadając naprzeciwko, Orlando dostrzegł nerwowo kołyszącą się stopę w bordowym bucie o niemożliwie wysokim obcasie. Podążył wzrokiem wyżej, doceniając szczupłą, pięknie uformowaną łydkę i kształtne udo zarysowane pod spódnicą.

Isabel odchrząknęła.

- Hmm... - mruknął i oparł się wygodniej. - Można wiedzieć, skąd ta nagła zmiana uczuć?

Isabel nerwowo przełknęła ślinę.

- To nie zmiana uczuć.

- Więc co?

Widział, jak desperacko poszukuje właściwych słów. Jej usta wciąż były wilgotne od pocałunku, który - nie miał co do tego żadnych wątpliwości - podzielał na nią, nawet jeśli teraz starała się to ukryć.

- Pytam z ciekawości - dodał lekkim tonem. - Oczywiście, uszanuję twoją decyzję.

- Wiem o tym.

- Więc...?

Dlaczego, do diabła, nie miała odwagi, żeby mu powiedzieć? Przecież i tak się domyślał. Czuł, że nie mogło być inaczej.

Zniecierpliwienie i zaborczość, które nagle nim zawładnęły, sprawiły, że jego głos zabrzmiał jak groźny pomruk rozjuszone-

go zwierzęcia.

- Może wolisz, żebym ci to ułatwił?

Isabel podniosła na niego oczy wpatrzone do tej pory w dłonie splecione wokół kolana.

- Co przez to rozumiesz?

- Poznałaś kogoś innego, tak? - Słowa wystrzeliły z siłą mającą znokautować przeciwnika.

Isabel roześmiała się gorzko.

- Nie bądź śmieszny, Orlando!

Dla niego nie było w tym nic śmiesznego. Nie widzieli się przeszło miesiąc. To mnóstwo czasu, by ktoś sprzątnął mu Isabel sprzed nosa.

- W takim razie poprzedni facet? Mam rację? Tylko zapomniałaś o nim wspomnieć, kiedy byłaś u mnie na wyspie.

- Nie! - Isabel wyprostowała się, patrząc mu prosto w oczy. - Nie poszłabym z tobą do łóżka, gdybym była z kimś. Za kogo mnie masz?

Orlando wzruszył ramionami.

- Nie wiem, Isabel. W każdym razie nie jesteś tą samą kobietą, którą poznałem na Jacamar. Bo tamta Isabel nie uciekała ode mnie, tak jak ty teraz.

Odwróciła twarz, spoglądając gdzieś w bok, ale Orlando zdążył dostrzec pogłębiający się rumieniec.

- Nie przeczę, że wtedy... - urwała. - Zaangażowałam się, ale to już przeszłość. Wszystko się zmieniło.

- Najwyraźniej - odparł rozzłoszczony. Nie miał do tego cierpliwości. Odsunął krzesło i wstał. Patrzył teraz z góry na tę irytującą go ze wszech miar kobietę.

- Słuchaj, Isabel. Nie mam czasu na gierki. Jestem w Londynie przejazdem i pomyślałem, że miło byłoby zjeść razem kolację. Ale nie będę cię błagał. Jeśli masz inne plany, w porządku. Wystarczy jedno słowo.

- Trzy słowa, Orlando.

Jego oczy zwięzły się niebezpiecznie, ale coś w udręczonym wyrazie jej twarzy kazało mu zachować komentarz dla siebie.

- Słucham.

Isabel zaczerpnęła powietrza. Nic, absolutnie nic nie zapo-

wiadało tego, co miała mu do zakomunikowania.
- Jestem w ciąży.

ROZDZIAŁ DRUGI

- Słucham?

W jednej chwili twarz Orlanda zmieniła się w kamień, sylwetka znieruchomiała.

- Nie. - Pokręcił zdecydowanie głową, patrząc na nią zdumiony. - Nie możesz być w ciąży.

- To prawda, Orlando. - Jej głos, płaski i bezbarwny, brzmiał, jakby należał do kogoś innego.

- I ja jestem ojcem?

Jak mógł o to pytać, pomyślała, czując ukłucie w sercu.

- Tak, jesteś ojcem. Jesteś jedynym mężczyzną, z którym poszłam do łóżka. Nie ma innej możliwości.

- Jedynym? - W jego oczach malowało się niedowierzanie. - Mówisz, że...

- To właśnie mówię, byłam dziewicą, kiedy...

Oczy mu pociemniały.

- Dlaczego nic nie powiedziałaś?

- Po co? To nie miało dla mnie żadnego znaczenia.

- Ale dla mnie mogło mieć! - Zaklął pod nosem i w geście bezradności przyłożył dłoń do czoła.

- Na pewno jesteś w ciąży? Może...

- Na pewno. - Spuściła oczy, wpatrując się w matowe noski bordowych czółenek.

Orlando nerwowym gestem zatopił palce we włosach i odgarnął je z czoła.

- Przecież używaliśmy prezerwatyw. Któraś musiała pęknąć albo się zsunąć.

Isabel kiwnęła głową.

- Chyba tak.

Zastanawiała się nad tym tyle razy i w końcu uznała, że to jedyna sensowna odpowiedź. Pamiętała, że podczas którejś z wielu szalonych nocy na wyspie, Orlando chciał zmienić prezerwa-

tywę na nową. Coś poszło nie tak, bo cicho zaklął, zanim znowu wziął ją w ramiona. Jego szybki oddech, bicie serca pod rozgrzaną skórą. Pocałunki, którymi doprowadzał ją do szaleństwa i te delikatne jak muśnięcia skrzydeł motyla, gdy wyczerpani leżeli obok siebie, ciężko oddychając. Tamtej nocy, gdy zasypiała, nie przeczuwała, że drobny incydent odmieni jej życie na zawsze.

Zaklął powtórnie i podszedł do okna. Oparł się dłońmi o szybę i przyłożył do niej rozgrzane czoło.

- Kiedy się dowiedziałaś? - zapytał.

- Dziś rano. Zrobiłam test.

Odwrócił się gwałtownie.

- Więc nie byłaś jeszcze u lekarza?

- Testy są wystarczająco dokładne. Zresztą, miałam podejrzenia już jakiś czas temu, ale wolałam się upewnić, zanim ci powiem.

Podszedł do stołu i usiadł naprzeciwko. Kolanami niemal dotykał rąbka jej spódnicy.

- Powinniśmy się zastanowić, co dalej - powiedział poważnym tonem.

Co dalej... Te słowa zabrzmiały niemal jak groźba. Isabel patrzyła na niego z niepokojem. Chyba odzyskał równowagę. Zaczynał przypominać dawnego siebie. Władczego i bezwzględnego biznesmena, który lubił rządzić innymi i podejmować za nich decyzje.

Na to nie mogła pozwolić. Powiedziała mu o ciąży i o tym, że jest ojcem. Miał prawo wiedzieć. Ale reszta to wyłącznie jej sprawa.

Jego mocne dłonie spoczywały na udach. W spojrzeniu wbitym w nią widać było gonitwę myśli. Orlando usiłował uporządkować informacje, jakie mu przekazała, i opracować strategię, której ona musiałaby się podporządkować. Był tak blisko, że niemal czuła powietrze poruszane jego oddechem i mogłaby policzyć bursztynowe plamki w tęczęwkach jego oczu.

Przez niego miała mętlik w głowie i wciąż czuła w ustach smak pocałunku, którym ją przywitał, gdy zostali sami. To nie było fair. Złamał reguły. Oboje wiedzieli, że to, co wydarzyło się

na Jacamar, jest przeszłością. I tak miała poczucie, że była dla niego chwilową rozrywką. „Było cudownie”, powiedział z naciskiem na „było”. Zrozumiała wtedy, że nie powinna sobie robić nadziei. Ten chwilowy zawrót głowy opłaciła złamanym sercem.

Odkąd spóźnił jej się okres aż do dzisiejszego poranka, gdy zrobiła test, poważnie zastanawiała się nad ukryciem wszystkiego w tajemnicy. W ten sposób mogłaby sama decydować o swoim losie. Mogłaby wychować dziecko tak, jak chciała. Finansowo na pewno byłoby jej trudno, ale dałaby radę. Nic od niego nie potrzebowała. Nie nagabywałaby go o alimenty i na pewno nie błagałaby, żeby się z nią ożenił.

Z czasem jednak zrozumiała, że sumienie nie dałoby jej spokoju przez resztę życia. Orlando miał prawo wiedzieć, że jest ojcem.

- Naprawdę, nie masz się o co martwić, Orlando - przerwała przedłużającą się ciszę. - To ja będę musiała zdecydować, co dalej.

- Słucham? - Zmarszczył brwi, jakby nie dosłyszał.

- Jestem gotowa wziąć na siebie całą odpowiedzialność.

- Całą odpowiedzialność? - powtórzył, nadal nie rozumiejąc.

- Tak. Niczego od ciebie nie oczekuję. - Zaczerpnęła powietrza. Dziwny spokój w jego głosie kazał jej podejrzewać, że sprawy niezupełnie szły po jej myśli. Spróbowała ponownie: - Oczywiście, nie będę ci zabraniać odwiedzin, ale jeśli chodzi o wychowanie, oczekuję, że ta rola będzie w całości należeć do mnie.

- Więc to tak... - Patrzył na nią złowrogo.

- Tak.

- Niebawem! - Orlando odsunął się gwałtownie i krzesło zachwiało się, niemal upadając na ziemię. - Najpierw mówisz mi, że zostanę ojcem, a potem dorzucasz bombę, że nie zamierzasz dzielić się wychowaniem dziecka? Dobrze zrozumiałem?

- Tak - odparła nieco drżącym głosem. - Powiedziałam ci o tym, bo masz prawo wiedzieć, nie dlatego, że czegoś od ciebie żądam.

- To niezwykle szlachetne z twojej strony. - Sarkazm sączył się z jego słów jak jad. - I czego się spodziewałaś? Że powiem

„dziękuję za informację” i zapomnę o całej sprawie?

- Jeśli tego właśnie chcesz... - Isabel nie zamierzała się ugiąć ani pod natarczywym spojrzeniem, ani tonem, jakim do niej przemawiał. - Masz wybór.

- Ha! - Orlando zaśmiał się szyderczo. - Uwierz mi, nie mam żadnego! Ty też zresztą nie masz, niezależnie od tego, co sobie uroiłaś.

- Posłuchaj, Orlando.

Odwrócili głowy obydwój, słysząc lekkie pukanie do drzwi. Orlando podniósł rękę do góry i Isabel zamilkła. W drzwiach stała Astrid.

- Nie teraz, mam ważną rozmowę - warknął tylko.

- Bardzo przepraszam, chciałam tylko powiedzieć, że pana gość już jest. Spotkanie o trzynastej trzydzieści - przypomniała asystentka.

Orlando zakłopotany potarł dłonią skroń.

- Powiedz, że spóźnię się parę minut.

- Oczywiście. - Astrid zamknęła drzwi.

- Musimy porozmawiać, Isabel, ale nie tutaj. - Odsunął mankiet marynarki i zerknął na zegarek. - Przez całe popołudnie będę zajęty. Około siódmej powinienem stąd wyjść.

Isabel zawahała się. Bardzo chciała odrzucić to zaproszenie, które właściwie było nakazem. Powiedzieć mu, że nie ma sensu przekładać niczego na wieczór, skoro już wszystko mu powiedziała. Jego chłód nieco ją zaskoczył. Nawet nie zapytał, jak się czuje.

Ale w obliczu determinacji i stalowego spojrzenia czuła, że każdy opór przypominałby próbę powstrzymania oceanu za pomocą muru wybudowanego z piasku.

Wstała, podniosła torbę i przybrała tak obojętny wyraz twarzy, na jaki ją było stać.

- W takim razie do wieczora. Gdzie chcesz się spotkać?

- Zostaw swój adres Astrid. Przyjadę po ciebie o siódmej.

Orlando patrzył, jak Isabel w pośpiechu opuszcza salę. Obcasy wystukiwały rytm na lakierowanym parkiecie. Potem przez chwilę jeszcze rozmawiała z Astrid i wreszcie zamknęła za sobą

drzwi. Dopiero wtedy oparł łokcie o kolana i ukrył twarz w dłoniach.

Była w ciąży.

Znaczenie tych słów uderzyło go z całą siłą dopiero, kiedy wyszła. Młoda kobieta, którą ledwie znał, była z nim w ciąży. Na dodatek była dziewicą, zanim pojawił się i zrujnował jej życie. Jaki drań mógł zrobić coś podobnego? Taki sam jak jego ojciec! On też poznał matkę, gdy była nastolatką, wykorzystał ją, a potem porzucił.

Orlando przymknął powieki, próbując się skupić. Nie zauważył, że Isabel była dziewicą. Jak to się stało? I czy coś by to zmieniło? Ich krótki romans wywrócił jego życie do góry nogami. Był przekonany, że oboje to czuli.

Przed oczami stanęły mu gorące noce na Jacamar. Tak, Isabel bez wątpienia go pragnęła. W jej oczach jaśniał ogień pożądania, gdy po raz pierwszy przyciągnęła go do siebie, wyginając w łuk nagie ciało. Ale zapamiętał także, jak gwałtownie wciągnęła powietrze, gdy w nią wszedł, i łzy w kącikach oczu, gdy po pierwszym orgazmie opadli bez tchu. Teraz już wiedział, co się za tym kryło, i zrobiło mu się przykro. Nie mógł jednak odwrócić przeszłości.

Jakoś musiał sobie z tym poradzić. Będzie ojcem. A przecież nigdy nie miał tego w planach. Nie po tym, jak stał się świadkiem rozpadu życia swojej matki. Dzieciństwo było tylko smutnym testamentem tego, co zgotował mu ojciec.

Będąc małym chłopcem, tułał się po różnych rodzinach zastępczych za każdym razem, gdy jego matka – kobieta delikatnego zdrowia i psychiki – popadała w pogłębiającą się z wiekiem depresję. Miał dwanaście lat, gdy umarła, przegrywając walkę z chorobą i brutalną rzeczywistością.

Zbyt duży na adopcję, trudny i noszący w sobie ogromną złość do świata chłopak został umieszczony w sierocińcu. Ponury, przypominający więzienie budynek był jego domem przez ponad cztery kolejne lata.

Podczas ostatnich spędzonych tam miesięcy zakiełkowała w nim myśl, by odszukać rodzzonego ojca. Mężczyznę, który uwiódł jego matkę, a potem porzucił ją jeszcze przed jego przyj-

ściem na świat. Mężczyznę, który zrujnował psychikę matki i w rezultacie doprowadził do jej śmierci.

Wszystko to wydarzyło się bardzo dawno temu. W wieku siedemnastu lat Orlando kupił bilet w jedną stronę do Nowego Jorku i zostawił za sobą tragiczną przeszłość. Potem było już tylko lepiej. Dzięki determinacji i ciężkiej pracy Orlando zbudował swoje życie od nowa, notując po drodze kolejne, coraz większe sukcesy. Cudowna kariera, mógłby ktoś powiedzieć.

To prawda, Orlando był teraz na szczycie. Żył tak, jak zawsze tego pragnął. Do dzisiaj.

Teraz nie tylko dogoniła go jego przeszłość w postaci niechcianego spadku po ojcu, lecz także nie był pewien przyszłości. Jeden drobny incydent i jego życie zostało przekierowane na nowe, nieznanne mu tory. Będzie miał dziecko. Zupełnie nie wiedział, czego w związku z tym oczekiwać. Wiedział jedynie, że nie porzuci swojego syna albo córki, tak jak to zrobił kiedyś jego ojciec.

- Już schodzę.

Isabel odłożyła słuchawkę domofonu, sięgnęła po płaszcz i przewiesiła go przez ramię. Zerknęła do lustra w korytarzu i w pośpiechu wyszła z mieszkania. Stukając obcasami, zbiegła kilka pięter na dół, nie czekając na windę. Nie chciała, żeby Orlando wszedł na górę.

Mieszkanie było wprawdzie nieduże, ale przyzwoicie urządzone i znajdowało się w pobliżu stacji metra, dzięki czemu droga do siedziby Spicer Shoes zajmowała jej jedynie dwadzieścia minut. Mimo wszystko wątpiła, by dwupokojowy apartament zrobił dobre wrażenie na kimś takim jak Orlando Cassano.

Gdy go zobaczyła, jej serce wzleciało ku niebu, jakby właśnie wybierali się na pierwszą randkę, kiedy wszystko jest jeszcze jedną wielką niewiadomą. Ach, jakież był przystojny. Jak doskonale ubrany. Za każdym razem jego elegancja robiła na niej ogromne wrażenie. Minęło parę chwil, zanim przypomniała sobie, w jakim celu się umówili.

- Jak długo tu mieszkasz? - zapytał, przyglądając się krytycz-

nie siedzącej nieopodal grupie hałaśliwych nastolatków.

Isabel zaczerwieniła się. Granatowy kaszmirowy płaszcz z postawionym kołnierzem zupełnie nie pasował do szaroburego budynku, pomazanego graffiti i zamieszkałego w większości przez pracowników biurowych niższego szczebla.

- Kilka lat - odpowiedziała, zapinając swój płaszcz pod samą szyję. - I zanim zaczniesz, okolica jest w porządku. Nie każdy ma szczęście mieszkać na karaibskiej wyspie albo w willi na Long Island.

- Czy ja coś podobnego twierdziłem?

- Nie, ale...

- W takim razie możesz sobie zaoszczędzić wykładu opartego na domysłach.

Zacisnęła wargi. Isabel umilkła. Spotkanie nie zaczęło się najlepiej. Ach, gdyby mogła je mieć już za sobą. Towarzystwo Orlanda było dla niej czystą torturą. Nerwy miała w strzępach. Nie tylko z powodu ciąży i tego, że musiała mu powiedzieć. Najgorsze było przyznanie się przed sobą, że przez ostatnie kilka tygodni tylko się oszukiwała. Ich romans wcale nie był przelotny, a przynajmniej nie dla niej. Nie wynikał z oczarowania atmosferą wyspy. Gdyby mogła, rzuciłaby mu się w ramiona także teraz, w zimnym, zasnutym chmurami Londynie.

Wiedziała to, gdy ich spojrzenia po dłuższej przerwie spotkały się tego ranka w sali konferencyjnej. A potem jeszcze ten pocałunek. Wszystko to wzbudziło jej pożądanie na nowo.

- Chodźmy do samochodu - powiedział i ruszył w stronę czarnej limuzyny z przyciemnionymi szybami, która wyglądała na tle reszty aut jak pojazd z innej planety.

Isabel poczuła paniczny strach, ale nie z powodu nastolatków, którzy zdążyli okrążyć samochód i cmokali teraz z uznaniem. Mieszkała tu na tyle długo, by wiedzieć, że nie ma się czego obawiać z ich strony. Przerażenie wzbudzała w niej perspektywa jazdy. Gdy miała siedemnaście lat, samochód, którym jechała z rodzicami, miał wypadek. Zginął wtedy jej ojciec, a matka została inwalidką i musiała poruszać się na wózku. Ona odniosła tylko lekkie obrażenia, ale to zdarzenie pokrzyżowało jej plany. Nie poszła na uniwersytet, tylko zajęła się firmą prowa-

dzoną przez ojca. Przeszła wtedy przyspieszony kurs dorastania, ale z dzisiejszej perspektywy czuła, że podjęła wtedy właściwą decyzję. Firma Spicer Shoes odniosła sukces, a ona nie musiała obawiać się o to, jak utrzyma siebie i matkę, która wymagała pomocy.

Pamiętała, jak rzuciła się wtedy w wir pracy, by jak najszybciej zapomnieć o rodzinnej tragedii. Tak bardzo chciała przekonać matkę, że życie jeszcze się nie skończyło, że przecież mają siebie. Jednak po upływie siedmiu lat musiała stwierdzić, że o ile od strony zawodowej powodziło jej się całkiem nieźle, o tyle jej relacje z matką stały się jeszcze bardziej napięte. Ciążyło jej coś, czego nawet nie umiała nazwać. Do tego dochodziły ataki paniki, które dopadały ją za każdym razem, gdy miała wsiąść do samochodu. Dopiero terapia pomogła jej nieco złagodzić. Mimo to Isabel poczuła teraz szalone bicie serca i wstrzymała oddech.

Orlando otworzył przed nią drzwi. Bez słowa usiadła na fotelu i od razu zapięła pasy. Co jeszcze mogę zrobić, zastanawiała się, czując, jak wilgotnieją jej dłonie. Orlando przeszedł na drugą stronę i uchylił drzwi. Do jej uszu doleciały strzępki rozmowy.

- Teoretycznie ponad dwieście na godzinę...

O mój Boże! Poczwała, że robi jej się słabo.

Po stronie kierowcy drzwi się otworzyły. Orlando stał z nogą opartą na progu.

- Super. Jechał pan kiedyś tyle?

- Jechałem sto siedemdziesiąt na autostradzie w Niemczech. Ale to niewiele w porównaniu z możliwościami.

- Nieźle - odpowiedział głos z nabożnym uwielbieniem.

Isabel nie mogła dłużej znieść rosnącego napięcia i nacisnęła klakson.

Orlando schylił się i zajrzał do środka.

- Wszystko w porządku?

- Tak - wyszeptwała, pokonując gulę strachu, która tkwiła w jej gardle. - Możemy już jechać?

Powiedział coś jeszcze do osób stojących przy krawężniku, usiadł za kierownicą i uruchomił silnik. Gdy nacisnął pedał

gazu, silnik zamruczał groźnie.

- Strasznie ci się spieszy - powiedział, zerkając na nią z boku.
- Krótka pogawędka jeszcze nikomu nie zaszkodziła.

- Zmienisz zdanie, gdy znajdą twój samochód okradziony na jakimś pustkowiu.

- Przed chwilą sama oskarżałaś mnie o uprzedzenia - parsknął krótkim śmiechem.

Isabel odwróciła głowę w jego stronę.

- Nie mówię, że to złe dzieciaki, ale taki samochód jak twój zwraca uwagę. Nawet zwykła rozmowa to proszenie się o kłopoty.

- Ach, więc to moja wina?

- Nic takiego nie powiedziałam.

- Nie należy spisywać na straty innych tylko dlatego, że wywodzą się z ubogich rodzin, droga Isabel. Byłem młody i doskonale pamiętam, jak to jest.

- Wcale tego nie sugerowałam. - Jakim cudem wplątała się w taką rozmowę? - Tak się składa, że mam dobre kontakty z sąsiadami. Wątpię, jednak, byś znalazł z nimi choć jeden wspólny temat.

Orlando uniósł brwi i popatrzył na nią z powątpiewaniem.

- Po prostu mówię, że należy traktować ich z szacunkiem. Podrzucić coś, co mogłoby ich zainspirować, zamiast sugerować, że są łobuzami, zdolnymi jedynie do kradzieży.

Isabel miała dosyć. Jego mentorski ton tak działał jej na nerwy, że prawie zapomniała o swoim strachu. Prawie. Bo gdy wreszcie ruszyli z piskiem opon i gwałtownie zawrócili, musiała chwycić się fotela i wrzasnęła przerażona.

- Na miłość boską!

Gwałtownie obejrzała się za siebie, sądząc, że zobaczy ciała leżące na asfalcie, ale zamiast tego ujrzała wiwatujących nastolatków.

- Co ty wyprawiasz?

- Nic. Nie chciałem ich rozczarować.

Isabel zapadła się w miękkie skórzane oparcie, unikając patrzenia w okno. Wolała nie wiedzieć, jak szybko jadą.

ROZDZIAŁ TRZECI

- Usiądź, proszę!

Orlando wstał i ręką wskazał jej miejsce po przeciwnej stronie stolika. Czuła wbite w siebie spojrzenie, które śledziło każdy jej ruch.

Gdy weszli do restauracji, Isabel od razu poszła do toalety poprawić makijaż i uspokoić się po jeździe, która kosztowała ją masę nerwów. Na szczęście Londyn nie był torem rajdowym i gdy wyjechali na główną ulicę, utknęli w korku, który rozluźnił się dopiero na ostatnich kilometrach.

Podjąwszy jeszcze ze dwie próby konwersacji, Orlando umilkł, akceptując jej milczenie. Nie było jej teraz może z pięć minut, ale sądząc po jego zniecierpliwionym tonie, było to o pięć minut za długo.

- Zamówiłem dla ciebie.

Pochylił się i napełnił jej kieliszek winem, ale Isabel tylko pokręciła głową i sięgnęła po karafkę z wodą.

- Znam szefa kuchni. Jego rekomendacje zawsze się sprawdzają.

- Dziękuję - mruknęła w odpowiedzi, zdumiona, z jaką łatwością przychodziło mu przejmowanie kontroli nad innymi. W pół minuty została skarcona za przedłużający się pobyt w toalecie i zlekceważona przy wyborze potraw. Na co dzień musiał być tyranem, nie miała co do tego wątpliwości.

Rozejrzała się wokół. Siedzieli nieco na uboczu, w bardzo znanej i ekskluzywnej restauracji z gatunku tych, które przyjmują rezerwacje na rok wcześniej albo tego samego wieczora, pod warunkiem, że ktoś nazywa się na przykład Orlando Cassano. Wśród gości siedzących przy dyskretnie oświetlonych stolikach z polerowanego drewna rozpoznała kilka osób. Zwykle dobrze się bawiła w takich sytuacjach, ale dziś było inaczej. Jej uwaga była skupiona na mężczyźnie siedzącym przed nią. Mu-

siała zrobić wszystko, aby nie pozwolić mu zniszczyć swoich planów życiowych.

- Mamy sporo do omówienia - powiedział Orlando i podniósł kieliszek z czerwonym winem, które zawirowało w naczyniu, roztaczając przyjemny aromat. - Kiedy dziecko ma się urodzić?

- Na początku grudnia.

- Więc mamy, ile? Siedem miesięcy?

Mamy? Od kiedy mówił o sobie i o niej „my”?

Isabel napiła się wody.

- Tak, jeśli prawidłowo obliczyłam, poród byłby drugiego grudnia.

- Oczywiście, datę będzie musiał potwierdzić lekarz.

- To dziecko, Orlando, a nie transakcja handlowa - odparła zgryźliwie. - Nie nałożysz na nie kary umownej, jeśli pojawi się na świecie parę dni później.

W jego oczach błysnęła groźba, ale zdecydował się nie podgrzewać atmosfery.

Odchrząknął.

- Popytam o najlepszych położników w mieście i dam ci znać.

- Nie trzeba, sama znajdę.

- Świetnie. - Westchnął znacząco. - W takim razie zastanówmy się nad tym, gdzie będziemy mieszkać?

- My? Razem?

- Myślałem, że najodpowiedniejszy byłby Nowy Jork. Mam tam duży apartament i...

- Zaczekaj chwilę, Orlando. Nie mogę się przeprowadzić do Nowego Jorku! - wtrąciła Isabel w panice. - W Londynie mam dom i pracę. Nie mogę wszystkiego zostawić.

- Spicer Shoes to teraz firma międzynarodowa, Isabel. Czy nie tego właśnie chciałaś? Niedługo otwieramy sklep przy Piątej Alei. Nie zaszkodziłoby, gdybyś bywała od czasu do czasu w Stanach. Ktoś musi uczestniczyć w galach charytatywnych, inauguracjach i innych tego typu imprezach. Skorzysta na tym marka. - Przerwał, widząc jej rozgorączkowane spojrzenie. - A może wolałabyś, żebym wprowadził się do ciebie? Chociaż mogłoby nam być trochę ciasno we troje, nie uważasz? - zapytał.

Isabel westchnęła poirytowana.

- Nie pamiętam, żeby w ogóle była mowa o zamieszkaniu razem.

- Isabel, oboje musimy się poświęcić. Takie są fakty.

Poświęcić? Więc traktował ich dziecko jako poświęcenie? Dla niej to była po prostu miłość.

Po chwili przestała się dziwić jego słowom. Orlando nie miał emocjonalnego stosunku do dziecka. Dla niego było ono co najwyżej kulą u nogi i problemem, który jakoś trzeba było rozwiązać.

Dostrzegając światełko nadziei, postanowiła dać mu jeszcze jedną szansę. Może zrezygnuje. Może da jej spokój. Jej i dziecku. Nie wyobrażała sobie dzielenia opieki nad dzieckiem z kimś, kto będzie uważał je za ciężar.

- Może w takim razie zechcesz rozważyć moją wcześniejszą propozycję, Orlando? Jestem gotowa zająć się dzieckiem sama. Nie musisz się w żaden sposób poświęcać.

- Nie - powiedział twardo. - Jestem odpowiedzialnym człowiekiem, a to oznacza gotowość do poświęceń. Rozumiesz to, mam nadzieję.

- Oczywiście - odpowiedziała.

Wszystko to było bardzo szlachetne z jego strony, ale nie zmieniało faktu, że w ramach tych, jak to nazywał, poświęceń, żądał od niej porzucenia dotychczasowego życia, przeprowadzenia się za ocean i zamieszkania razem wyłącznie dla dobra dziecka.

To ostatnie zabolowało ją chyba najbardziej.

- Zdaję sobie sprawę z tego, że dziecko zmieni mój styl życia, ale nigdy nie myślałam o wyjeździe z Anglii ani tym bardziej o przeprowadzce na inny kontynent.

- Czy masz lepszy pomysł?

Isabel wciągnęła powietrze, wiedząc, że Orlando jest gotów odeprzeć każdy jej argument. Mimo to musiała spróbować.

- Nie rozumiem, dlaczego nie możesz po prostu być częścią życia dziecka bez całego tego zamieszania z przeprowadzką?

Orlando popatrzył na nią tak chłodno, że Isabel poczuła na ramionach gęsią skórę.

- Nie chcę być częścią życia mojego dziecka, Isabel - powiedział. - Chcę być ojcem.

Nacisk położony na ostatnie słowo nie pozostawiał cienia wątpliwości co do jego intencji. Piękne czekoladowe oczy wpatrywały się w nią natarczywie, domagając się odpowiedzi.

- Będę wspierał nasze dziecko finansowo, emocjonalnie i w każdy inny sposób. Będę uczestniczył we wszystkich decyzjach dotyczących jego przyszłości aż do jego dorosłości i później, jeśli będzie sobie tego życzyło. Będę do jego dyspozycji o każdej porze dnia i nocy. Czy to jest jasne?

Isabel próbowała coś powiedzieć, ale głos odmówił jej posłuszeństwa.

- I jeszcze jedno. - Mina Orlanda wyrażała absolutne zdecydowanie. - Weźmiemy ślub.

Beznamiętnym spojrzeniem omiótł jej nagle pobladłą twarz. Isabel wyglądała, jakby właśnie ogłoszony został wyrok w jej sprawie. Nie spodziewał się takiej reakcji na propozycję małżeństwa. Ale z drugiej strony nie spodziewał się też, że taka propozycja z jego ust padnie.

Życie było dla niego przede wszystkim ciężką pracą i od czasu do czasu korzystaniem z jej owoców. Przyjemności dawkował z umiarem i najczęściej były nimi piękne kobiety, które dostosowywały się do jego żądań i stylu życia. Małżeństwo było dla frajerów. A dzieci... Cóż, jeśli oprzeć się na jego własnych doświadczeniach, byłyby źródłem wiecznej zgryzoty.

Ale okoliczności zmieniły się w dość dramatyczny sposób i stało się to, co do tej pory było dla niego niewyobrażalne. Koniecznie chciał, by Isabel została jego żoną, obojętne, czy jej się to podobało czy nie. Nie chciał nawet słyszeć o tym, by dziecko wychowywało się bez ojca, tak jak on.

Zdążył już nawet oswoić się z myślą, że zostanie ojcem. Początkowy szok został wyparty przez dyscyplinę i poczucie obowiązku. Skok adrenaliny kazał mu opanować emocje, przejąć kontrolę, opracować plan i przystąpić do jego realizacji. Cel został zdefiniowany. Chciał, żeby jego dziecko miało dom i oboje rodziców, na których zawsze będzie mogło polegać.

- Ślub? - Odzyskawszy głos, Isabel nabrała niespodziewanej

energii. – Nie, przykro mi, ale nic z tego.

Orlando poczuł tętnienie krwi w żyłach.

– Obawiam się, że będziesz się musiała przyzwycząć do tej myśli – powiedział, wlewając w te słowa narastającą złość.

– Obawiam się – powiedziała spokojnie – że nic nie muszę, Orlando.

Zaskoczyła go, ale ponieważ przy stoliku pojawił się kelner z ich daniami, musiał poczekać z odpowiedzią. Gdy odszedł, Orlando zrozumiał, że Isabel miała rację. To ona w tej chwili trzymała w ręku najmocniejsze karty.

Mogła zaprzeczyć się i odpowiadać „nie” na każdą jego propozycję. Albo nawet wstać i wyjść, zostawiając go tutaj z jego żądaniami i perspektywą dochodzenia swoich praw w sądzie.

Obserwował ją ukradkiem i zastanawiał się, jak wybrnąć z tej sytuacji. Jeśli nie będzie ostrożny, przegra z kretelem. Instynkt podpowiadał mu, że musi odzyskać panowanie nad sytuacją, nad Isabel i nad całym swoim życiem! W tej chwili czuł, że stracił grunt pod nogami. Spadał, nie mając zielonego pojęcia, gdzie wyląduje.

Nagły przyływ emocji kazał mu przystąpić do działania natychmiast. Gdyby mógł, zaprowadziłby Isabel pod przymusem do urzędu stanu cywilnego. Wiedział jednak, że musi się opanować, zanim dokumentnie wystraszy Isabel, a ta wyrzuci go ze swojego życia.

Wziął ze stolika sztucę.

– Przykro mi, Isabel, że uważasz ten pomysł za tak odrażający. – Z precyzją chirurga zagłębił ostrze noża w kawałku mięsa.

– Wydaje mi się, że powinniśmy zapewnić naszemu dziecku minimum bezpieczeństwa. Kto wie, co przyniesie przyszłość?

– Jak to?

– Możesz poznać kogoś, założyć rodzinę i nie będę miał wstępu do świata mojego dziecka.

– To niemożliwe.

– Jak najbardziej możliwe.

– Więc mamy się pobrać, ponieważ chcesz mieć prawo do opieki nad dzieckiem, tak?

– To jeden z bardzo wielu powodów.

- W takim razie mogę cię zapewnić, że nigdy nie będę kwestionować twojego ojcostwa ani zabraniać ci widywania się z dzieckiem.

- To mi nie wystarczy.

- W takim razie spiszmy umowę.

- Tym właśnie jest akt ślubu.

Patrzyła na niego bez słowa.

- Posłuchaj, Isabel, dziecko samotnej matki nie będzie miało łatwo. To wciąż stygmat. Wiem coś o tym, bo wychowywałem się bez ojca. Nie chcę, żeby coś podobnego spotkało ciebie i nasze dziecko.

Jej spojrzenie złagodniało i Orlando niemal natychmiast pożłował wyznania. Nie chciał, żeby mu współczuła. Orlando Casano dostawał to, czego chciał, ponieważ był silny, inteligentny, czasami przebiegły. To były cechy, które pomogły mu dojść do majątku w ciągu zaledwie dekady.

Ale jego sukcesy wydawały się nie obchodzić Isabel, o tym Orlando już wiedział. Poza tym, że był udziałowcem w jej firmie, jego pieniądze nic dla niej nie znaczyły, a chwalenie się nimi na pewno nie zapewniłoby mu jej przychylności. Może odrobina światła rzucona na jego przeszłość przyniesie jakiś efekt? Jeśli tak, był skłonny uchylić rąbka tajemnicy, ale niech się nie spodziewa, że będzie to coś więcej.

- Twoi rodzice nie mieli ślubu? - Isabel odłożyła sztucce.

- Nie.

- Mieszkali razem?

- Nie, mieli romans. Ojciec był żonaty, a kiedy dowiedział się, że matka jest w ciąży, kazał jej się wynosić do wszystkich diabłów. Matka założyła sprawę, bo koniecznie chciała, żebym nosił jego nazwisko. Żałuję, że tak się przy tym upierała.

Isabel sięgnęła po szklanekę z wodą i przyglądała się mu z zainteresowaniem.

- Więc ostatecznie ojciec cię uznał?

- Tak, ale to było wszystko, na co było go stać.

Gdyby to zależało od niego, zakończyłby rozmowę w tym miejscu. Jednak zaciekawione spojrzenie zielonych oczu podpowiedziało mu, że będzie musiał zdradzić więcej.

- Kiedy miałem siedemnaście lat, odnalazłem go. Widzieliśmy się parę razy, ale nic z tego nie wyszło.

Niewątpliwie było to niedopowiedzenie miesiąca, o ile nie roku. Decyzja o odszukaniu ojca była najgorszą pomyłką w jego życiu. Stojąc u progu dorosłości, był przekonany, że oto spotka się ze swoim rodzonym ojcem i wykrzyczy mu cały swój żal prosto w oczy.

Ale sprawy przybrały zupełnie inny obrót. Przystojny i charyzmatyczny Carlo Cassano, noszący arystokratyczny tytuł Marchese di Trevente ujął go i oczarował. Nie spodziewał się tak entuzjastycznego powitania. Ojciec otworzył przed nim ramiona i pozwolił mu zajrzeć do swojego świata wielkich pieniędzy, szybkich samochodów i atrakcyjnych kobiet. Nic z tego nie przypominało jego wczesnego dzieciństwa u boku matki ani późniejszej nędzy domu dla sierot. Orlando połknął haczyk.

Ignorując wszystko, czego dowiedział się o ojcu od matki, zdecydował, że to właśnie jest świat, w jakim chciał żyć. I kiedy ojciec zaproponował, że może z nim zamieszkać i dla niego pracować, Orlando pomyślał, że złapał pana Boga za nogi.

Nie wiedział, że to, co o ojcu opowiadała matka, było zaledwie wierzchołkiem góry lodowej. Prawda była taka, że ojciec był o wiele bardziej zdeprawowany, niż sądziła, a ich krótka relacja zakończyła się najgorzej, jak tylko można było sobie wyobrazić - śmiercią młodej kobiety. Sophia była jego dziewczyną i pierwszą miłością. Orlando nigdy nie wybaczył ojcu ani sobie tego, co się wydarzyło.

- Wiesz, co się z nim teraz dzieje?

- Wiem - głos zabrzmiał ponuro. - Leży pochowany w rodzinnym grobie na terenie posiadłości w Trevente.

- Przykro mi - powiedziała i spuściła oczy.

- A mnie wcale - odparł. Jeśli o niego chodziło, ojciec mógł szczerząc w piekle. Nie byłby zdziwiony i nie obesłoby go to bardziej niż zeszłoroczny śnieg.

- Trevente... - powtórzyła Isabel zamysłona. - To w Le Marche, prawda?

- Zgadza się.

Isabel szybko połączyła fakty.

- Dorastałeś w Le Marche, tak? To dlatego zasugerowałeś, żeby umieścić tam fabrykę Spicer Shoes i tak szybko wszystko zorganizowałeś?

- Mam kontakty na całym świecie. - Odparł i wrócił do jedzenia. - Le Marche słynie z produkcji wysokiej jakości obuwia. To było logiczne posunięcie.

- Logiczne... no tak - powiedziała z przekąsem.

Jej uwaga ukłuła go boleśnie, ale nie dał tego po sobie poznać.

- Czy teraz już widzisz, dlaczego powinniśmy się pobrać? Nasze dziecko potrzebuje stabilności w życiu i, prawdę mówiąc, ja też jej potrzebuję.

Siedziała ze spuszczoneymi oczami nad prawie nietkniętym jedzeniem. Szczupłe palce bawiły się pasmem włosów. Wyglądała na opanowaną, ale przy uważniejszym spojrzeniu dostrzegł, ile wysiłku wkłada w utrzymanie prostej sylwetki i panowanie nad mimiką.

- Za dużo ode mnie wymagasz, Orlando.

- Wiem - odparł. Poczul, że jej opór topnieje.

- Jeśli zgodzę się za ciebie wyjść, mam jeden warunek.

- Jaki?

- Chcę, żebyśmy zaczekali, aż dziecko przyjdzie na świat.

Oparł brodę na splecionych rękach i przyglądał jej się badawczo.

- W porządku - odrzekł po chwili.

Uszanuje jej decyzję. Zresztą nie miał w tej chwili innego wyjścia.

- Ma pani gościa.

Daisy, młoda praktykantka pracująca dla Spicer Shoes, przeszła przez warsztat i wsunęła głowę w uchylone drzwi gabinetu Isabel. Po zaczerwienionych policzkach i rozszerzonych źrenicach Isabel domyśliła się, kim był gość. Orlando Cassano tak właśnie działał na kobiety.

Isabel potarła palcami skronie. Wczorajsza kolacja w jego towarzystwie była wystarczającym przeżyciem. Szczególnie, że... ach tak... w jej trakcie jakimś cudem zgodziła się wyjść za nie-

go.

Zasłoniwszy się bólem głowy, skróciła spotkanie i zanim podano deser, wyszła z lokalu i taksówką wróciła do siebie. W drodze próbowała poskładać jakoś swoje życie, które chwilowo było w rozsypce. Do tej pory wydawało jej się, że to ciąża zmieniła jej życie o sto osiemdziesiąt stopni. Teraz jednak musiała pogodzić się z także z jego obecnością.

Czuła się zagrożona i chodziło nie tylko o swobodę decydowania o sobie, lecz także o uczucia. Poza nagłym wybuchem namiętności na Jacamar, Isabel nie miała do czynienia z takim tsunami uczuć. Śmierć ojca odcisnęła na niej piętno. Podobnie jak nieudane relacje z matką. Ale miłość? To było coś, co zdarzało się innym ludziom.

Wypadek samochodowy z pewnością się do tego przyczynił. Isabel wybudowała wokół siebie mur, co było zarówno formą kary, jak i zabezpieczeniem przed powrotem do normalności. Matka jasno oznajmiła jej, że kraksa nie tylko zabrała jej męża, ale i zrujnowała życie. Isabel została uznana za winną spowodowania wypadku i szybko pogodziła się z tym, że nie zasłużyła na szczęście. Trzeba przyznać, że bardzo dbała o to, aby żadne radosne uczucia nie zakłócały jej wiecznej żałoby i poczucia przegranej.

Była pewna, że gdyby zakochała się w Orlandzie, stałoby się to przyczyną dalszych tortur emocjonalnych, a nie szczęścia. Dlatego tak bardzo starała się przed tym chronić. Jednak kolejna bezsenna noc pozwoliła jej zdać sobie sprawę z tego, że Orlando miał rację w jednym. Dziecko było teraz najważniejsze. Jeśli więc zdecyduje się na ślub z nim, zrobi to dla dziecka, któremu prawdopodobnie będzie się lepiej żyło w pełnej rodzinie.

Sama miała oboje rodziców, a mimo to ich rodzina daleka była od ideału. Pamiętała głośne kłótnie i to, że musiała chować głowę pod poduszkę. Zaciskając dłońmi uszy, przysięgała sobie, że nigdy nie wyjdzie za mąż i nie pozwoli nikomu na siebie krzyczeć.

Wspomnienia jej matki z tego okresu były najwyraźniej zupełnie inne. Od czasu tragicznego wypadku wychwalała ojca pod niebiosa, a swoje małżeństwo nazywała najpiękniejszym związ-

kiem, którego została brutalnie pozbawiona. Odwiedzając córkę, wspominała o tym co najmniej raz, wbijając Isabel w poczucie winy, które odbierało jej chęć do życia na kilka kolejnych tygodni.

Niepełna rodzina bardziej przeszkadzała Orlandowi. Musiało go to mocno uwierać, mimo że jego wyjaśnienia były wyprane z większych emocji. Współczuła mu trudnego dzieciństwa, ale rozum podpowiadał jej, że nawet ta opowieść miała na celu przede wszystkim przekonanie jej do ślubu. No cóż, przynajmniej udało jej się odwlec termin aż do narodzin dziecka. Mogła to uznać za małe zwycięstwo.

Dziś jednak pojawiły się kolejne problemy. Dostała próbkę z pierwszej partii butów z nowej fabryki w Le Marche. Początkowe podekscytowanie szybko zmieniło się w konsternację, gdy otworzyła parę pudełek. Szwy były za grube, odcienie skóry zupełnie nie takie, jak chciała, a wykończenie wyglądało po prostu tandetnie. Isabel siedziała sfrustrowana, patrząc na powtarzane pudełka zajmujące większość biurka.

- Nie chcę teraz nikogo widzieć, Daisy. Powiedz, proszę, że jestem zajęta - dodała i odgarnęła włosy z czoła. Dłonie drżały jej ze zdenerwowania.

- Widzę właśnie. - Znad pleców asystentki wyrosła znajoma sylwetka. - Co się dzieje? Za duży wybór?

Daisy zaśmiała się i wpuściła Orlanda do środka. Nagle Isabel poczuła, że jej gabinet jest za mały dla nich trojga. Obrzuciła Orlanda krótkim spojrzeniem i odwróciła do biurka, czekając, aż osobliwe poczucie klaustrofobii ulotni się wraz z powracającym do normy oddechem.

- To nie jest dobra pora na odwiedziny, Orlando.

Ignorując jej uwagę, podszedł bliżej i przyglądał się butom porozkładanym na biurku w nieładzie.

- Próbkę z fabryki? - zapytał, domyślając się przyczyn niezadowolona.

- Tak. Są okropne - wybuchnęła Isabel, ale po chwili przyciszyła głos i złapała pierwszą z brzegu parę butów. Trzymając je za obcasy, podsunęła tak, by Orlando mógł lepiej zobaczyć. - To po prostu skandal. Kolorystyka jest zupełnie inna od tego, co

zamówiłam, a wykonanie? Płakać się chce. Nawet dziurek w pasku nie potrafili równo zrobić!

Orlando pochylił się nad wyciągniętą w jego stronę parą butów i Isabel momentalnie pożałowała, że go nie wyprosiła od razu. Był zbyt blisko, pomyślała, czując przyspieszone bicie serca.

- Pokaż - powiedział i wziął od niej szpilki ze szpiczastym noskiem z paskiem w kostce, po czym zmrużył lekko oczy i uważnie studiował dziurki na pasku. Potem odwrócił się do Daisy, która nadal wpatrywała się w niego cielecym spojrzeniem, jakby był bóstwem, które właśnie zstąpiło na ziemię. - Wygląda w porządku. Jak ci się zdaje, Daisy?

Daisy w milczeniu pokiwała głową.

Isabel wyrwała mu but z ręki, wrzuciła go do najbliższego pudełka i zatrzasnęła wieko. - To ja decyduję o takich sprawach, a nie Daisy, i ja mówię, że jakoś jest nie do zaakceptowania.

- Na pewno da się to wszystko naprawić - powiedział Orlando uspokajającym tonem. - Zacznijmy od kawy.

- Oczywiście - Daisy drgnęła, wychodząc z letargu. - Co mogę panu zaproponować?

- Dla mnie espresso. Isabel?

- Ja dziękuję - powiedziała, zaciskając usta.

Odmówiła po części dlatego, że nie spodobało jej się to całe rozkazywanie. Po drugie od jakiegoś czasu miała wyraźną awersję do kawy. Była to kolejna niespodzianka związana z ciążą.

Orlando przysunął fotel dla gości do biurka i usiadł tuż obok. Musiała się odsunąć, żeby zrobić mu miejsce. Jej gabinet był stanowczo za mały, aby mogły w nim wygodnie pracować dwie osoby. Zwykle siedziała tutaj sama. Pracowała nad projektami lub odrabiała zaległości w korespondencji. Teraz, z Orlandem siedzącym tuż obok, czuła, że za chwilę zabraknie jej powietrza.

- Uruchomienie nowej linii przeważnie wiąże się z pewnymi problemami. - Orlando wyjął z otwartego pudełka wieczorowy sandał wysadzany sztucznymi kamieniami i obracał go w dłoniach, zanim zirytowana Isabel, której zaczynało się kręcić w głowie, wyjęła go z jego rąk i włożyła z powrotem na miejsce.

- Wiem o tym. - Pozamykała wszystkie pudełka i uprzątnęła je

ze stołu do ogromnego kartonu, w którym zostały dostarczone.

- Ale to coś więcej niż zwykle niedociągnięcia. To katastrofa!

- Bez przesady. Pamiętaj, że to kolekcja prêt-à-porter. W produkcji seryjnej nigdy nie osiągniesz takiej samej jakości jak w przypadku modeli szytych na zamówienie.

- Dziękuję uprzejmie za wyjaśnienie - powiedziała, ledwo powstrzymując jadowity uśmiech. - Następnym razem, jak będę potrzebować porady, to o nią poproszę.

Na Orlandzie nie zrobiło to żadnego wrażenia.

- Czy można wiedzieć, co cię sprowadza? - spróbowała znowu. - Jestem pewna, że masz wiele ciekawszych zajęć, którym mógłbyś poświęcić uwagę.

- Nasz związek wykroczył poza relacje zawodowe - odparł ze stoickim spokojem, który jakimś cudem niweczył wszystkie jej protesty i przekazywał całą kontrolę nad sytuacją w jego ręce.

Isabel odwróciła twarz w stronę komputera i zanim ekran wybudził się z uśpienia, patrzyła na swoją nieco spłoszoną twarz. Potem zabrała się do odpisywania na mejle, dając Orlandowi do zrozumienia, że powinien już sobie pójść. On jednak nie miał nawet takiego zamiaru.

- Skoro już tu jestem, mógłbym ci pomóc.

Isabel otworzyła kolejną wiadomość.

- Nie wydaje mi się - powiedziała.

- Lecę dziś po południu do Włoch. Mam pewną sprawę do załatwienia w Le Marche. Mogę przy okazji odwiedzić fabrykę i porozmawiać z menedżerem o twoich wątpliwościach.

- To nie będzie konieczne. - Isabel odwróciła się ku niemu, a w jej oczach błysnął gniew. - Kiedy Cassano Holdings zainwestował w Spicer Shoes, była mowa o tym, że będę miała całkowitą kontrolę nad bieżącą działalnością. To moja sprawa i mój problem, i to ja go rozwiążę.

- Jak wolisz - powiedział i wyciągnął przed siebie nogi, ale ponieważ pod biurkiem nie było zbyt wiele miejsca, trącił Isabel, która odsunęła się jak oparzona.

Na chwilę zapadło milczenie.

- Możesz latać?

Isabel popatrzyła na niego, jakby się urwał z choinki.

- Jestem tylko w ciąży, Orlando. Nie nabyłam przez to nadludzkich umiejętności.

Z trudem ukrył uśmiech.

- Chodziło mi o to, czy możesz polecieć ze mną do Włoch?

Isabel bez trudu znalazłaby sto powodów, dla których taka podróż była niemożliwa, ale żaden z nich nie był związany z ciążą.

- Mam zarezerwowany na dziś lot i dobrze by było, żebyś poleciała ze mną. Zobaczysz fabrykę i sprawdzisz na miejscu, co poszło nie tak.

- Niestety nie mogę - odpowiedziała, usiłując znaleźć powód, który nie zabrzmiałby jak tania wymówka. Nie mogła lecieć, w każdym razie nie dziś i przede wszystkim nie z nim. - Mam za dużo pracy.

- Jestem pewien, że ktoś cię tu zastąpi.

W tej samej chwili drzwi do gabinetu uchyliły się i Daisy wniosła tacę z kawą.

- Spadasz nam prosto z nieba. - Orlando uśmiechnął się uroczo do asystentki, która podała mu maleńką filiżankę. - Daisy mogłaby cię zastąpić przez kilka dni, prawda? - zapytał i nie czekając na odpowiedź Isabel, patrzył wyczekująco na asystentkę.

- Naturalnie. - Daisy posłusznie skinęła głową. - Zajmę się wszystkim.

- W takim razie postanowione - Orlando zwrócił się ponownie ku Isabel, której twarz przybrała szarawy odcień. - Wylatujemy o czwartej. Bądź gotowa na trzecią.

ROZDZIAŁ CZWARTY

- Spacerując wąskimi brukowanymi uliczkami Trevente, Isabel poczuła nagły przyływ optymizmu. Miała za sobą udany dzień. Wizyta w fabryce poszła gładko. Kierownik produkcji oprowadził ją po zakładzie, przedstawił załodze i zgodził się ze wszystkimi uwagami Isabel oraz obiecał wprowadzić zmiany.

Wszystko to napawało ją nadzieją. Teraz, gdy marka Spicer Shoes była na ustach wszystkich, Isabel nie mogła sobie pozwolić na żadne błędy.

Jej buty stały się słynne jakieś trzy miesiące temu, gdy jedna z najbardziej znanych na świecie aktorek podczas jednego z wywiadów tak się rozżłościła na prowadzącego wywiad dziennikarza, że miała zamiar rzucić w niego butem. Już zsunęła pantofel ze stopy i sięgnęła w dół, jakby chciała złapać za obcas i zamachnąć się na siedzącego przed nią mężczyznę, gdy nagle rozmyśliła się. Wtedy padła słynna wypowiedź, która okazała się najlepszą reklamą, jaką Isabel mogła sobie wymarzyć: „Już miałam to zrobić, ale szkoda byłoby tak pięknych butów. Szpilki Spicer są więcej warte niż jakikolwiek facet”.

Od tamtego wywiadu marka Spicer Shoes była na fali. Media społecznościowe oszalały na punkcie nieznanych dotąd butów, a biuro Isabel zostało wprost zarzucone zamówieniami. To była kolosalna zmiana dla niedużej firmy rodzinnej, którą ponad pięćdziesiąt lat temu założył dziadek Isabel. Odkąd Isabel przejęła biznes, było kilka okresów, w który ledwo wiązała koniec z końcem i zastanawiała się, skąd wziąć pieniądze na kolejne wypłaty dla dwunastu pracowników tworzących załogę warsztatu.

To wszystko zmieniło się w jedną noc. Isabel była świadoma tego, że nagła popularność jej marki oznacza także wyzwania, a być może nawet problemy, ale trudno było nie skorzystać z tak ogromnej szansy. I tak Isabel pofrunęła za głosem instynk-

tu, a trafiła, jak wiadomo, prosto w ramiona Orlanda Cassano.

Na szczęście, dziś jeszcze nie mieli okazji się widzieć. W Londynie Orlando zachowywał się zwyczajnie, jak przystało na biznesmena, jednak po przylocie do Włoch stał się milczący i nieprzystępny.

Był późny wieczór, gdy po podróży dotarli wreszcie do stylowego hotelu, który w dawnych czasach był klasztorem. Wysokie kamienne sufity i przeszklone podłogi oraz zaskakująco nowoczesne umeblowanie niewątpliwie były efektem geniuszu projektanta. Boy hotelowy zaprowadził ich do przestronnej suit, składającej się z kilku pokoi. Isabel ulżyło. Nareszcie będzie mogła uwolnić się od obecności człowieka, którego towarzystwo tak ją stresowało.

Szybko wybrała jedną z dwóch sypialni i pożegnawszy się z Orlandem, zamknęła drzwi na klucz, zbyt zmęczona, by analizować przyczyny jego złego humoru. Przypuszczała jedynie, że miało to związek z nią i z ciążą. Może zrozumiał, że wpadł w pułapkę. Nie mogła siebie za to winić. Wyraźnie mu powiedziała, że nie musi się angażować, ale nie skorzystał z propozycji.

Tego ranka Orlando był w jeszcze gorszym humorze niż wieczorem. Z rana obudziło ją natarczywe pukanie. Gdy zaspana stanęła w otwartych drzwiach, próbując zapiąć górny guzik zwykłej bawełnianej piżamy, zobaczyła go ubranego w garnitur i gotowego do wyjścia. Oświadczył, że przez cały dzień będzie zajęty, a jego kierowca zabierze ją do fabryki. Mieli się spotkać dopiero wieczorem. Potem odwrócił się i odszedł, a Isabel po krótkim namyśle wróciła do łóżka, zastanawiając się, jakież to tajemnicze sprawy sprowadziły Orlanda do Trevente.

Miasteczko okazało się prawdziwym zagłębiem obuwniczym i Isabel szybko zakochała się w malutkich sklepikach, ukrytych za nimi warsztatach i większych salonach z eleganckimi witrynami, w których sprzedawano bardziej znane marki. Całe Trevente wyglądało, jakby było hymnem na cześć sztuki obuwniczej. Do tego doszła piękna majowa pogoda. Koło wieczora powietrze było przesycone uwodzicielskim zapachem kwiatów. Doprawdy trudno było zignorować tyle pozytywnych bodźców.

Przystanęła przy kolejnej wystawie i z zafascynowaniem przyglądała się butom zawieszonym na wyjątkowo efektownej instalacji z drutów zamocowanych do sufitu, gdy nagle poczuła, że nie jest sama.

- Ach, więc tutaj się chowasz!

Głęboki, męski głos przeniknął do jej krwioobiegu i jej oczy znalazły się naprzeciwko szerokiego torsu odzianego w białą koszulę i ciemną marynarkę.

- Byliśmy umówieni na kolację, zapomniałaś? - Patrzył na nią spod zmarszczonych brwi.

Isabel w pośpiechu odsunęła mankiet i spojrzała na zegarek. Faktycznie! Miała się z nim spotkać pół godziny temu w trattorii koło rynku.

- Wybacz, straciłam poczucie czasu. Tu jest cudownie! - powiedziała z entuzjazmem i nawet zaryzykowała uśmiech, ale natychmiast go pożałowała, gdyż jedyną odpowiedzią było wyraźne poirytowanie.

- Byłoby jeszcze cudowniej, gdybym nie musiał na ciebie czekać.

Położył dłoń w okolicach jej talii i pokierował ją w stronę trattorii.

- Tędy. Miejmy nadzieję, że nie posadzili jeszcze nikogo przy naszym stoliku.

Isabel ruszyła zważszym krokiem. Orlando prowadził ją bocznymi uliczkami, które miejscami były tak wąskie, że musiała iść za nim. Nad ich głowami rozwieszane były sznury z suszącą się bielizną, zza żelaznych balustrad balkonów wylewały się kolorowe kwiaty.

Wszystkie te obrazy przesuwwały się przed jej oczami jak w kalejdoskopie. Raz, gdy chciała się zatrzymać, Orlando złapał ją za rękę i pociągnął za sobą.

W końcu, zmęczona tym pośpiechem, przystanęła.

- Czy możemy zwolnić? - zapytała zdyszana. Z rękami opartymi na biodrach musiała wyglądać jak włoska *mamma*. Orlando zmierzył ją spojrzeniem od góry do dołu. Poczuła się nieswojo. - To przez te buty. - Ugięła nogę w kolanie i przyjrzała się obcasowi. - Nie nadają się do biegania po bruku.

- Rzeczywiście. - Orlando stał teraz tuż przy niej. - Co to za buty? Ciekawy wzór - mruknął.

Opuściła nogę i podniosła głowę, napotykaając jego spojrzenie.

- To z nowej kolekcji. Połączenie rzymskich sandałów z klasycznymi kozakami.

Orlando jeszcze raz popatrzył w dół. Z przodu widoczne były pomalowane na czerwono paznokcie. Rzemyski oplatały kostkę i kształtne łydki Isabel.

- Chyba będą bardzo popularne - powiedział.

- Taką mam nadzieję.

Jego słowa zabrzmiały niemal intymnie i poczuła przyspieszone bicie serca. Powinna się opanować, ale jego głos i spojrzenie nie dawały jej spokoju. Roześmiała się, tuszując zmieszanie.

- Gdybym wiedziała, że będziemy biec, założyłabym trampki.

- Cieszę się, że tego nie zrobiłaś.

Gdzieś za nimi rozległo się brzęczenie skutera i Orlando przysunął się bliżej. Oparł obie ręce o mur, przy którym stała Isabel.

- Tak się składa, że te buty bardzo mi się podobają - powiedział przeciągle.

Ach, więc teraz był dla niej miły?

Skuter minął ich i brzęczenie silnika po chwili ucichło. Mimo to Orlando nie ruszył się z miejsca. Czuła jego oddech na swojej twarzy.

- Robisz świetne projekty - dodał, patrząc jej głęboko w oczy.

- Dziękuję. - Ku swojemu zdziwieniu głos miała całkiem normalny w przeciwieństwie do zamieszania, jakie panowało w jej głowie.

Ulegając sugestywności wpatrzonych w nią oczu, Isabel rozchyliła usta. Zrobiło jej się gorąco, gdy zobaczyła, jak pochyla się nad nią. Jego usta znalazły się tuż przy jej i Isabel zamknęła oczy.

- To jeden z powodów, dla których zainwestowałem w twoją firmę. - Tym wytrącił ją z rozmarzenia i teraz przyglądał jej się z kpiącym, jak jej się zdawało, uśmiechem.

Co ona sobie wyobrażała? Że zaczną się teraz całować? Przecież dopiero co chciała się go pozbyć ze swojego życia.

- Chodźmy, to już niedaleko - dodał i odwrócił się. Isabel po-

spieszyła za nim, zawstydzona, że dała się złapać na tak prostą zagrywkę.

Trattoria u Lusardiego była niedużą knajpką, w której pachniało włoskim jedzeniem. Gdy tylko Isabel przekroczyła próg, aromat oregano, oliwy i czosnku zaatakował jej kubki smakowe i poczuła, że jest głodna.

Widząc świece na zwykłych drewnianych stołach, natychmiast pokochała to miejsce wypełnione gwarem rozmów. Jadają tu chyba całe rodziny, pomyślała, ukradkiem obserwując ojców rodzin z serwetkami wetkniętymi za koszulę i kilkuletnie szkraby, które niezdarnie jeszcze manewrując sztućcami, wkładały do ust spaghetti. Cudowne miejsce, pomyślała, przeciskając się do ich stolika, który był chyba jedynym nakrytym dla dwóch osób. Mimo dużego ruchu, obsługa była nad wyraz szybka i już wkrótce mieli przed sobą parujące talerze wybornej lasagne z truflami.

Jadła z apetytem, uświadamiając sobie, że poza śniadaniem nie miała dziś nic w ustach. Orlando spożywał posiłek w skupieniu, celebrując każdy kęs. Próby nawiązania konwersacji skończyły się niepowodzeniem, tak więc Isabel zostawiła go w spokoju, jednak przez cały czas czuła się nieswojo, wspominając tę chwilę, kiedy o mało go nie pocałowała.

Kiedy wreszcie podniosła na niego oczy, musiała siebie usprawiedliwić. Każdej kobiecie byłoby trudno mu się oprzeć. Orlando roztaczał wokół siebie magię, która opierała się na jego pewności siebie. Teraz także szybko doszedł do porozumienia z kelnerem, który bez mrugnięcia okiem spełniał wszystkie jego zachcianki.

Było jednak coś, co nie dawało Isabel spokoju. W ciszy, która między nimi panowała, było coś niedopowiedzianego. Przeczuywała kłopoty.

Orlando oderwał spojrzenie od talerza i popatrzył w zielone oczy, które przyglądały mu się bez skrępowania. Wiedział, że jego zachowanie jest dla Isabel zagadką, ale na razie nie mógł się zdobyć na wyjaśnienia. Odkąd przybyli do Trevente, był w podłym nastroju i nie mógł na to nic poradzić.

Poranna wizyta u radcy prawnego była tak przykra, jak się

tego spodziewał. Orlando podpisał oświadczenie i radca uści-
snał mu dłoń, zwracając się do niego nowym tytułem – Marche-
se di Trevente. Jednak po chwili jego nadzieja, że Orlando zaj-
mie się podupadłym majątkiem ziemskim, została pogrzebana.
Słyszając, że Orlando zamierza jak najszybciej wystawić posia-
dłość na sprzedaż, radca zmarszczył tylko czoło, w milczeniu
schował pieczęć do ciężkiej, drewnianej szkatuły i popatrzył na
dopiero co podpisany dokument, wyraźnie żałując, że nie da się
cofnąć czasu.

W tym samym momencie Orlando uświadomił sobie, że odrzu-
cając spadek i tytuł w taki sposób, zachował się dokładnie jak
jego ojciec, znany z brutalnej bezwzględności. Nie poprawiło
mu to nastroju.

Podobnie teraz nie był w stanie porzucić ponurych myśli i za-
jąć ich czymś przyjemniejszym, choćby rozmową z Isabel. Mogli
zjeść gdziekolwiek indziej, nawet w hotelu. On jednak wybrał
małą, zatłoczoną trattorię. Dlaczego? Bo wiedział, że jej się tu
spodoba.

Chciał jej pokazać Trevente od najprzyjemniejszej strony
i chyba mu się udało, sądząc po tym, z jakim apetytem pochło-
nęła lasagne. Już kiedy spotkał ją na ulicy, wiedział, że jest za-
chwycona. Cieszyło go to i bolało, szczególnie że przyjechał tu
z postanowieniem załatwienia ostatniej sprawy i opuszczenia
Trente, tym razem na zawsze.

Odkładając sztucę na talerz, pomyślał, że najlepiej będzie
skupić się na praktycznych aspektach sytuacji, w jakiej się zna-
lazł. A to oznaczało pozbycie się uciążliwego spadku i zastano-
wienie nad przyszłością Isabel i dziecka, które miało się uro-
dzić. Zdecydowanie nie powinien pozwolić, by ponury nastrój
odbierał mu jasność myślenia.

Musiał odzyskać kontrolę nad swoim życiem. Jednak w towa-
rzystwie Isabel Spicer było to z jakiegoś powodu trudniejsze niż
zwykle. Nie mógł się skupić na niczym, gdy patrzył na jej rozko-
łysany krok, kiedy szła. Aksamitne usta, gdy jadła. Nawet wyso-
ko uniesiony podbródek świadczący o uporze wydawał mu się
zachwycający i podniecający.

Dio! Mógł ją pocałować wtedy, w ciemnej alejce. Przyprzeć do

mur, niecierpliwymi rękami podwinąć krótką spódnicę i objąć idealnie okrągłe pośladki... Ale przecież takie zachowanie nie przystoi komuś, kto uważa siebie za mistrza opanowania.

Wszystko przez te jej buty, pomyślał, zerkając w bok, poza stół, gdzie jej smagła stopa owinięta rzemykami kołysała się lekko na boki. Pod zajmowanym przez nich stolikiem było tak mało miejsca, że Isabel zmuszona była siedzieć nieco bokiem.

Przypomniał sobie kurtynę ciemnych włosów, która opadła na jej twarz, gdy złapała ręką za obcas, podnosząc nogę i pokazując mu, dlaczego za nim nie nadaża. Zamiast jej współczuć, poczuł gwałtowne podniecenie, które udało mu się ukryć za chłodnym spojrzeniem. Myśl o tym, jak rozsznurowuje rzemyki drażniła jego zmysły.

- Jak ci poszło w fabryce? - odezwał się w końcu.

- Całkiem nieźle - odpowiedziała, spoglądając na niego zza otwartej karty. - Zdziwiłam się, że wszystko tak sprawnie działa.

- Kilka fabryk w regionie zamknięto z powodu recesji, dlatego nie było problemu ze znalezieniem pracowników.

Odczekał chwilę, aż Isabel zamówi suflet czekoladowy, i podziękował gestem, gdy próbowała namówić go na coś słodkiego. Po chwili kelner zniknął, zostawiając ich samych.

- Wiedziałem, że zlokalizowanie produkcji tutaj to będzie strzał w dziesiątkę.

- Miałaś rację - odparła. - Cieszę się, że przyjechałam. Poznałam załogę, to wspaniali ludzie i bardzo zaangażowani.

- A kontrola jakości? Udało ci się wyprostować niedociągnięcia?

- Miejmy nadzieję. Muszę przyznać, że moja pierwsza reakcja, kiedy obejrzałam próbki, była trochę na wyrost.

- Czy ja wiem? - powiedział, uśmiechając się. - Dziurki na pasku to szalenie poważna sprawa.

Przyglądała mu się dobrą chwilę, zanim do niej dotarło, że żartuje. Wybuchnęła perlistym śmiechem. - Dobrze już, dobrze, wiem, że czasami jestem nieznośna.

Włożyła łyżeczkę w przyniesiony przez kelnera deser i włożyła ją do ust, przymykając z rozkoszą oczy.

- Pycha! Chcesz spróbować? - Nabrała drugą łyżkę i wyciągnęła rękę w jego stronę.

- Nie, *grazie*. - Swobodne zachowanie przypomniało mu Jacamar i uznał, że najlepiej będzie mieć się na baczności.

Isabel oblizwała usta.

- A jak tobie minął dzień? Nie powiedziałaś mi jeszcze, dlaczego przyjechałaś do Trevente.

Zawahał się. Rzeczywiście, nie zdradził jej tego i gdyby to od niego zależało, wyłgałby się jakoś. Ale nie mógł. Coś w jej spojrzeniu i tych szeroko otwartych zielonych oczach kazało mu zaspokoić jej ciekawość. Przecież i tak nie miało to znaczenia. Co miał zrobić, to zrobił.

- Przyjechałem podpisać oświadczenie o przyjęciu spadku.

- Naprawdę? - Isabel wytarła usta serwetką. - Jakiego spadku?

Ach, więc to ją zaciekało. Odpowiedział dopiero po chwili.

- Castello Trevente... posiadłość należąca do ojca. - Urwał, czując niemal satysfakcję na widok zaskoczenia, które malowało się na jej twarzy. - Jest jeszcze tytuł Marchese di Trevente.

- Nie! - Isabel wydała z siebie zduszony okrzyk. - Naprawdę jesteś markizem?

- Tak się złożyło. Ale zanim przejdiesz do gratulacji, chcę powiedzieć, że zamierzam zrzec się tytułu i sprzedać ziemię razem z zamkiem. Pod warunkiem, że znajdę głupca, który to zechce kupić.

- Sprzedać? Ale dlaczego?

Nie mieściło jej się w głowie, że ktoś dobrowolnie pozbywa się majątku ziemskiego, i to we Włoszech.

- To bez znaczenia - odpowiedział znużony i poprosił przechodzącego obok kelnera o rachunek. - Skończyłaś już?

- Jeszcze chwilę. - Isabel położyła dłoń na jego dłoni, jakby go chciała zatrzymać.

Orlando uniósł brwi, przyglądając jej się ze zdziwieniem.

- Po prostu ciekawi mnie ta sprawa. Zakładam, że tytuł jest w twojej rodzinie od dawna.

Wzruszył tylko ramionami.

- Nie masz obowiązku go chronić? Albo przekazać kolejnemu

pokoleniu?

- Nie, nie mam, i prawdę mówiąc to nie twoja sprawa - wycedził przez zaciśnięte zęby. Potem wyjął portfel, rzucił na stolik kilka banknotów i zaczął się podnosić.

- Wychodzimy, Isabel.

Ale ona ani drgnęła.

- Nie przyszło ci do głowy, że przed podjęciem decyzji powinieneś coś takiego omówić najpierw ze mną?

Orlando znieruchomiał lekko pochylony nad stolikiem. Jego twarz wyrażała najwyższe zdumienie. Czy aby dobrze usłyszał?

- Omówić? Z tobą? - zapytał zniżonym głosem, nie chcąc zwracać na siebie uwagi.

- Tak.

- Niby dlaczego miałbym to zrobić?

Jej twarz i dekolt pokryły się ciemnym rumieńcem.

- Cóż... z powodu naszego dziecka, rzecz jasna. To znaczy... nie wiemy, co prawda, czy to będzie chłopiec czy dziewczynka, ale to nie fair pozbawiać dziecko należnego mu dziedzictwa w imię własnego widzimisię.

Orlando przysunął się bliżej i jego twarz znalazła się naprzeciwko jej twarzy.

- Nie masz pojęcia, o czym mówisz, Isabel, więc proponuję, żebyś skończyła tę rozmowę!

Wszystko mówiło mu, że powinien złapać ją za rękę i wyprowadzić z restauracji, zwłaszcza że dostrzegł kilka ciekawskich spojrzeń skierowanych w ich stronę. A jak już wyjdą, powinien ją wreszcie pocałować. Marzył o tym przez cały wieczór. Może wybiłaby sobie z głowy dyskusję o tytułach i posiadłościach.

Ale Isabel jeszcze nie skończyła. Oparła się wygodniej i ani myślała wstać.

- A co z twoim ojcem?

Narastająca wściekłość, którą czuł, była jak ściana wodospadu szumiącego coraz głośniejszym i rozsadzającym mu głowę.

- Co on ma z tym wspólnego?

Groźny ton powinien ją ostrzec, ale Isabel zdawała się ignorować wszelkie symptomy spektakularnej awantury.

- Jak by się poczuł, gdyby wiedział, że sprzedajesz posia-

dłość? Skoro ci ją zapisał, to chyba po to, żebyś się nią zajął?

- Ha, ha, ha - Orlando roześmiał się szyderczo i opadł na krzesło. Było mu już wszystko jedno, czy ktoś się im przygląda, czy nie. - Nie masz pojęcia, jak śmieszne jest to, co mówisz, Isabel. To on jest powodem, dla którego chcę sprzedać posiadłość. Nie chcę mieć z nim nic wspólnego.

Ciemne rzęsy Isabel przesłoniły jej oczy, gdy zastanawiała się nad odpowiedzią.

- Powiesz mi dlaczego?

Orlando patrzył na nią wzburzony. Chciał powiedzieć, że nie. Nie powie jej nic więcej. Nie miał ochoty rozmawiać o tym człowieku. Chciał wymazać go ze swojego życia, wyrzucić z myśli i wspomnień. Miał nawet nadzieję, że udało mu się to zrobić, ale wtedy przyszła wiadomość o jego śmierci, spadku, tytule i cały koszmar wrócił.

Isabel spokojnie czekała na wyjaśnienie.

- Mój ojciec był kanalią, Isabel. Najgorszą kreaturą, jaką tylko można sobie wyobrazić.

Jej oczy rozszerzyły się z przerażenia. W głosie drżały emocje.

- Co on ci zrobił, Orlando? Co takiego złego zrobił?

- Popęłnił morderstwo - wydusił z siebie. - To ci powinno wystarczyć!

ROZDZIAŁ PIĄTY

Poczuł swego rodzaju ulgę. Przeklęty kamień, który przygniał jego duszę, stoczył się wreszcie w przepaść, pozwalając mu swobodnie oddychać.

Isabel siedziała jak porażona, z wpółotwartych ust nie wydobywał się żaden dźwięk. Oczy wyrażały pustkę. Patrzył, jak próbuje dojść do siebie, zamaskować konsternację, ale blade jak papier policzki zdradzały, że wiadomość, którą przekazał jej Orlando, była prawdziwym szokiem.

Zniknęło gdzieś zachęcające spojrzenie, którym próbowała go nakłonić do zwierzeń. Patrzyła na niego tak, jak na to zasługiwał. Jak na syna mordercy.

- Strasznie tu duszno. Muszę wyjść - powiedziała w końcu. Odsunęła krzesło i na chwiejnych nogach ruszyła w stronę wyjścia. Gdy znaleźli się na ulicy, wziął ją pod ramię.

- Dobrze się czujesz? - zapytał i zawstydził się. To była jego wina. Isabel miała urodzić jego dziecko. Powinien ją chronić, a nie straszyć rodzinnymi sekretami.

Powoli jej oddech uspokajał się, policzki nabrały kolorów. W końcu wysunęła się z jego objęć.

- Już mi lepiej.

Jej spojrzenie powędrowało gdzieś za jego plecy, potem w dół. Isabel pilnie oglądała swoje buty albo może kostkę brukową. Zdał sobie sprawę, że po prostu nie chce na niego patrzeć.

- Samochód stoi dwie przecznice stąd. Dasz radę się przejść?

- Chyba tak - odpowiedziała.

Ruszył energicznym krokiem, ale po chwili zwolnił, przypominając sobie, że w jej stanie nie mogła dotrzymać mu kroku. Szli obok siebie w całkowitym milczeniu, które doprowadzało go do szału. Spodziewał się pytań. Przygotował nawet odpowiedzi, niezbyt wglębające się w temat, które miała zakończyć konkluzja, że ten temat uważa za zamknięty - na zawsze. Tymczasem

jej milczenie było gorsze, znacznie gorsze niż konieczność odpowiadania na niewygodne pytania.

Była pogrążona w myślach. Nie zważała zupełnie na otoczenie, którym przedtem tak się zachwycała. Lekki wiatr rozwiewał jej piękne włosy na boki. Widział wtedy, że mimo zapewnień jeszcze nie doszła do siebie.

- Zaczekaj, podjadę trochę do przodu, będzie ci łatwiej wsiąść - powiedział, widząc, że samochód jest zaparkowany tak, jakby miał nim wracać sam. Nie mógł się przyzwyczaić do jej obecności w swoim życiu.

- Nie trzeba, wsiądę od twojej strony.

- Jak sobie życzysz. - Nie chciał się z nią spierać.

Otworzył przednie drzwi. Isabel ostrożnie usiadła na fotelu kierowcy, przestawiła nogę na swoją stronę i podciągnęła się wyżej, by przedostać się na swoje miejsce. Spuścił oczy, widząc spory fragment nagiego uda, gdy krótka spódnica podsunęła się prawie na biodro. Nawet przy tak banalnej czynności, jaką było wsiadanie do samochodu, Isabel działała na niego jak afrodyzjak.

Zaciekawił się, dlaczego nie chciała, by przestawił samochód? Może bała się, że ją tu zostawi? Albo gorzej. Przejedzie z zimną krwią i w ten sposób pozbędzie się jej ze swojego życia? Może pomyślała, że w jego krwi płyną mordercze skłonności. Jaki ojciec, taki syn...

Wzdrygnął się i wsiadł za kierownicę. Co go podkusiło, żeby rozważać tak absurdalne pomysły. Uruchomił silnik i po minucie krążenia ciasnymi uliczkami starówki, wydostali się na główną ulicę prowadzącą do hotelu. Isabel siedziała tuż obok, nienaturalnie wyprostowana, trzymając jedną ręką pas na wysokości piersi, druga była kurczowo zaciśnięta na krawędzi fotela. Przerwała milczenie tylko raz, prosząc go, by zwolnił. W jej głosie wyczuł strach. Wyraźnie nie miała zaufania do jego stylu jazdy, a może i do niego samego. Dwudziestominutowej podróży towarzyszył jedynie szum silnika i poświsty wiatru uderzającego o szyby. Oboje wpatrzeni byli w drogę wijącą się przed nimi serpentynami.

Gdy wreszcie znaleźli się w suicie, Isabel usiadła na sofie i naląła sobie dużą szklankę wody. Była wyczerpana, ale nie chciała iść do łóżka. Wiedziała, że nie zaśnie, dopóki nie porozmawiają i Orlando nie wyjaśni jej całej tej sytuacji, która położyła się cieniem na ich wieczornym spotkaniu.

Najpierw jednak musiała się uspokoić. Żołądek miała w gardle, nie tylko dlatego, że Orlando był przyzwyczajony do szybkiej jazdy. Wykończyły ją te wszystkie zakręty, które pokonywał zbyt brawurowo, jak jej się zdawało.

Teraz jednak zaczęło ją martwić co innego. Po powrocie Orlando zdjął marynarkę, podwinął rękawy koszuli i podszedł do barku. Kostki lodu hałaśliwie uderzały o dno szklanki. Gdy się odwrócił, trzymał w dłoni dużą whisky. Nadal miał ponury wyraz twarzy, ale gdy przechadzał się po salonie wyczuła w nim jakąś zachętę.

- Już późno - powiedział, siadając naprzeciwko niej i otwierając laptop. - Powinnaś się położyć.

Isabel patrzyła na niego, zastanawiając się, jak rozpocząć rozmowę. Wiedziała, że musi być ostrożna. Orlando miał skłonność do wycofywania się, gdy ktoś był zbyt natarczywy. Potrafił też przejść do ataku, a ona nie miała w tej chwili siły walczyć z nim na słowa.

- Musimy porozmawiać - powiedziała tak spokojnym tonem, na jaki ją było stać.

- Nie teraz. - Upił dwa łyki whisky i otworzył laptop. - Mam sporo do zrobienia i muszę zdążyć przed zamknięciem biura w Nowym Jorku.

- Poczekają do następnego dnia - powiedziała Isabel i wstała. Przeszła na jego stronę i usiadła tuż obok, po czym wyciągnęła dłoń i zamknęła klapę laptopa. - To jest ważniejsze.

Orlando spojrział na nią zdziwiony.

- Nie jesteś od wydawania mi poleceń, Isabel. - Odsunął jej dłoń, jakby chciał otworzyć komputer, ale zmienił zdanie i postawił go na dywanie, obok sofy. - Ani ty, ani nikt inny.

Jest zbyt blisko, pomyślała, czując na sobie jego natarczywe spojrzenie.

- Spodziewałeś się innej reakcji? Powiedziałeś, że twój ojciec

jest mordercą. Sądziłeś, że można przejść nad tym do porządku dziennego?

Słowo „morderca” ledwo jej przeszło przez gardło i teraz zawisło nad nimi jak ostrze gilotyny. Najważniejsze było jednak, że zdecydował się z nią porozmawiać.

- Jesteś mi chyba winien wyjaśnienie?

- Nic ci nie jestem winien, Isabel. Moja przeszłość nie powinna cię obchodzić!

Nie patrzył jej w oczy. Na pokrytym cieniem zarostu policzku nerwowo drgał mięsień. Musiał być w stresie, to na pewno. Nagle zapragnęła objąć dłońmi jego twarz, zwrócić ją ku sobie i pocałować zaciśnięte usta. Ogrzać je swoimi wargami i stopić ich opór. Bała się jednak, że ją odrzuci.

- Obojętne, co sobie o tym wszystkim myślisz, lepiej, żebyś nie znała prawdy - dodał grobowym głosem.

Isabel potrząsnęła głową.

- Nie pójdę spać, dopóki nie opowiesz mi, co takiego zrobił twój ojciec.

Odwrócił się i spojrzał na nią, jakby nie mówiła poważnie. Potem wziął szklanekę i wypił ją do dna.

- W porządku. Skoro tak bardzo chcesz... Ale nie mów, że cię nie ostrzegałem.

Wstał i dolał sobie alkoholu.

- Masz ochotę?

Pokręciła przecząco głową. Gdy podszedł do niej, podniosła na niego oczy. Posępne spojrzenie zmroziło jej krew w żyłach. Orlando usadowił się obok niej i rozpoczął opowieść.

- Mówiłem ci już, że mój ojciec był skończonym draniem. Człowiekiem bez krzty honoru, kłamcą i zdrajcą, który porzucił moją matkę, gdy się okazało, że jest w ciąży, a potem odmawiał uznania mnie jako syna.

Pomimo beznamiętnego tonu, Isabel czuła, że mówienie o ojcu sprawia mu trudność. Siedział sztywno i patrzył przed siebie, unikając spoglądania na Isabel. Chciała wziąć go za rękę, dać do zrozumienia, że jest po jego stronie, ale nie mogła się na to zdobyć. Coś jej mówiło, że to nie jest właściwa chwila.

- O tym, jakim był potworem, przekonałem się na własnej

skórze dopiero w wieku siedemnastu lat. Wykorzystał mnie, a potem zdradził... tak samo jak to zrobił z matką i każdą inną osobą, która miała nieszczęście wejść mu w drogę.

- Jak do tego doszło? - zapytała, wiedząc, że Orlando w każdej chwili może zmienić zdanie i zakończyć tę rozmowę.

- Powiedział, że ma plan, w którym mógłbym mu pomóc. A ponieważ byłem głupi, poszedłem na to, przynajmniej początkowo. Mówił, że potrzebuje pieniędzy, bardzo dużo pieniędzy, i to jak najszybciej. Teraz, gdy wiem, że większość majątku przepił i przegrał w kasynach, już mnie to nie dziwi. W każdym razie jego plan polegał na spaleniu rodzinnego magazynu z winem, żeby można było wyłudzić ubezpieczenie. Ja miałem dostać swoją działkę. Kusząca propozycja dla młodego człowieka, który nie miał grosza przy duszy.

- Zapewne - mruknęła Isabel.

- Wstępnie się zgodziłem. - Wypił łyk whisky i wreszcie odwrócił się do niej. - To był wielki błąd.

Isabel przygryzła wargę.

- Ale... nie wzięłaś w tym udziału, prawda?

- Nie. Powiedziałem mu, że zmieniłem zdanie. Ale jemu było wszystko jedno, sam podłożył ogień i magazyn poszedł z dymem.

Opuścił głowę, palce z bezsilności zacisnęły się na szklance. Wstrzymała oddech, czując, że to nie koniec, że musiało się wydarzyć coś jeszcze. Coś o wiele straszniejszego. Czekwała na dalszy ciąg, ale jednocześnie bała się tego, co mogła usłyszeć.

- W magazynie był ktoś... dziewczyna. Miała na imię Sophia i była córką handlarza win. - Głos załamał mu się. - Wyciągnąłem ją na zewnątrz. Przyjechała karetka, reanimowali ją, ale było za późno. Udusiła się.

- Tak mi przykro. - Isabel przyłożyła dłoń do ust, nie wierząc w to, co usłyszała. - Ale morderstwo? To bardzo poważne oskarżenie, Orlando. Twój ojciec pewnie nie wiedział... - poszukiwała właściwych słów. Nie chciała, by odniósł wrażenie, że przeszła na drugą stronę.

- Morderstwo, zabójstwo... Jak zwał, tak zwał. Zabił ją. Równie dobrze mógłby ją dźgnąć nożem. Zresztą potwierdził to sąd.

Dostał piętnaście lat, i to pomimo usilnych prób zrzucenia całej winy na mnie.

- Twierdził, że to twoja wina?

- Tak. Kanalia do samego końca - powiedział z goryczą.

- To musiało być dla ciebie straszne. - Isabel wzdrygnęła się na myśl, że ojciec mógł coś takiego zrobić własnemu dziecku. - Czy umarł w więzieniu?

- Nie. Wypuścili go kilka lat temu. Nie kontaktował się ze mną, nie wrócił także do Trevente. Dopiero teraz, na własny pogrzeb.

- Tak mi przykro, Orlando.

- Dlaczego miałoby być ci przykro? - zapytał szorstkim tonem. - Ta sprawa w żaden sposób cię nie dotyczy. Zresztą on już nie żyje. Jego paskudna przeszłość została pogrzebana razem z nim.

Więc dlatego Orlando tak bardzo chciał się zrzec tytułu Marchese di Trevente i sprzedać posiadłość. Isabel z uwagą studiowała jego twarz, usiłując połączyć wszystkie fragmenty układanki, ale coś jej się nie zgadzało. Orlando był strategiem, na pewno od dawna miałby plany co do posiadłości, wiedząc, że kiedyś ją przecież odziedziczy. Dlaczego zatem jego decyzja wyglądała na pospieszną i nieprzemyślaną? Zaryzykowała kolejne pytanie.

- Nie wiedziałeś, że kiedyś odziedziczysz to wszystko? Czy zawsze chciałeś pozbyć się spadku?

- Nie miałem o niczym pojęcia. Kiedy odmówiłem ojcu pomocy, powiedział, że nie zostawi mi złamanego grosza. Tak jakby mi na tym zależało.

- Ale jednak zostawił.

- Trudno powiedzieć, dlaczego to zrobił. Może uznał to za najlepszą zemstę. Majątek doprowadził do ruiny, a tytuł miał się wszystkim kojarzyć z alkoholikiem, hazardzistą i kryminalistą.

- Rozumiem - powiedziała powoli Isabel. W jej głowie zakiełkował pewien pomysł. - Zabierzesz mnie tam?

- *Scusi?*

- Chciałabym zobaczyć posiadłość. Jeśli rzeczywiście chcesz ją sprzedać, to będzie dla mnie ostatnia szansa.

- Ale po co, na litość boską!
- Chcę po prostu mieć pojęcie o przeszłości twojej rodziny, żebym wiedziała, co odpowiedzieć dziecku, kiedy o to zapyta.
- Daruj sobie ten tani sentymentalizm, błagam. - Orlando wstał i z góry popatrzył na Isabel. - Nie chcę burzyć twojej romantycznej wizji, ale tam naprawdę nie ma nic, o czym mogłabyś opowiadać naszemu dziecku. Od siedemnastu lat zamek stoi pusty. Już wtedy był w strasznym stanie. Aż się boję myśleć, co z niego zostało.
- Wszystko jedno, chcę go zobaczyć.
- Chwilę przyglądał jej się zwięzonymi oczami, ale nie ugięła się.
- Dobrze, skoro nalegasz.
- Możemy tam pojechać jutro?
- Wszystko mi jedno, może być jutro.
- Dziękuję - powiedziała tylko.

Isabel zadarła głowę i patrzyła na pnące się przed nią w górę mury zamku, który przypominał ilustracje z baśni czytanych w dzieciństwie. Gdy przyjrzała się uważniej, dostrzegła ślady zaniedbania. Bluszcz zarastał okna, gdzieniegdzie widać było odpryski i ubytki w murze. Balustrady pokryte były mchem. Schody, po których stąpał Orlando, niemal zupełnie zarosły chwastami. Isabel ostrożnie stawiała kroki, idąc w ślad za nim, aż wreszcie stanęli przed masywnymi drzwiami frontowymi, z których płatami odłaziła farba.

Orlando włożył do zamka klucz, który z zaskakującą lekkością obrócił się, i weszli do zacienionego wnętrza pachnącego stęchlizną.

Isabel przystanęła, czekając, aż jej oczy zaaklimatyzują się do panującego w hallu półmroku. Orlando natomiast zniknął w którychś drzwiach. Słyszała tylko jego kroki dudniące na drewnianym parkiecie. Po chwili w hallu zrobiło się nieco jaśniej. Towarzystwo temu skrzypienie mechanizmu unoszącego do góry zewnętrzne rolety. Poszła w kierunku strużki światła widocznej na posadzce.

W przestronnym salonie Orlando przymierzał się do otwarcia

kolejnej rolety.

- Wpuszczę trochę światła, inaczej poprzewracamy się w tych ciemnościach.

Isabel rozejrzała się i nacisnęła włącznik światła, patrząc z nadzieją na dwa ogromne zwisające z sufitu żyrandole. Ale nic się nie wydarzyło. Ktoś musiał wyłączyć prąd, prawdopodobnie ze względów bezpieczeństwa.

Mimo otwarcia wszystkich rolet, w pomieszczeniu nadal było ciemnawo. Isabel zmrużyła oczy. Meble pokryte białymi płachtami przypominały duchy. Na ścianach wisiało kilka portretów w ciężkich złożonych ramach. Po innych obrazach pozostały ciemniejsze plamy na jedwabnych tapetach. Na końcu pomieszczenia, w narożniku znajdował się marmurowy kominek z przydymionym rusztem.

Gdy obróciła głowę, by wrócić do punktu wyjścia swoich obserwacji, zauważyła, że Orlando patrzy na nią z nieskrywaną satysfakcją.

- I jak ci się podoba? - zapytał ironicznie.

- Myślę, że jest piękny.

- W takim razie musisz mieć bardzo osobliwe poczucie piękna, Isabel. Ja nie widzę nic pięknego w tych ruinach. - Kopnął nogą fragment gipsu, który musiał odpaść z sufitu, i podszedł do kominka.

- Miałam na myśli to, że kiedyś tu było pięknie i gdyby zrobić remont...

Umilkła, widząc, jak odwraca się gwałtownie. Groźne spojrzenie miało ją uciszyć, ale Isabel nie zamierzała milczeć. Z jakiegoś powodu czuła się w obowiązku bronić tego miejsca, a im większą wrogość widziała na twarzy Orlando, tym silniejsza stawała się jej determinacja.

- Myślę, że przy odpowiednim projekcie można by przywrócić zamkowi dawną świetność. Oczywiście, trzeba by w to włożyć dużo czasu i... serca.

- Ach, więc tak myślisz - powiedział kpiąco.

- Tak właśnie myślę i gdybym to ja odziedziczyła ten dom, i gdyby był on własnością mojej rodziny od pokoleń, nigdy bym go nie sprzedała, bez względu na wszystko...

Znajdowała się na bardzo grząskim gruncie i doskonale o tym wiedziała.

- Czyżby? - Podeszedł bliżej i zajrzał jej prosto w oczy. - Dlaczego tak cię interesuje to miejsce, Isabel? Czyżbyś miała chęć zostać markizą? Wiem, że Anglicy mają fioła na punkcie arystokracji.

- Nie! - Cofnęła się. Zresztą, nie mogłabym być markizą. Nie jestem twoją żoną.

- Ale będziesz, w tym rzecz!

- Na twoim miejscu nie byłabym tego taka pewna - odparowała i natychmiast pożałowała swoich słów.

Orlando spojrział na nią tak, że poczuła ciarki na plecach. Gdyby wzrokiem można było zabić, na pewno leżałaby już u jego stóp, wydawszy z siebie ostatnie tchnienie.

- Pamiętaj, że dałaś mi słowo, Isabel - Głos rozniósł się echem po salonie.

Isabel wstrzymała oddech. Uniósł dłoń i sięgnął po kosmyk jej włosów, po czym owinął go sobie wokół palca. Obezwładniający strach nie pozwalał jej się ruszyć.

- Na twoim miejscu... - powtórzył za nią - nie zmieniałbym teraz zdania. To byłby fatalny pomysł.

Puścił kosmyk i włosy opadły na policzek. Dopiero wtedy Isabel wypuściła wstrzymywane powietrze.

- Nie mówię, że zmieniłam zdanie - powiedziała. - Ale nie będę też ulegać niczym groźbom.

- W takim razie jest nas dwoje, Isabel. Bo jeśli ci się zdawało, że wykorzystasz to małżeństwo do zyskania przewagi nade mną, to jesteś w wielkim błędzie. Pobieramy się tylko ze względu na dobro dziecka. Na tym koniec.

Isabel odpowiedziała walecznym spojrzeniem. Nie uda mu się zapędzić jej w kozi róg. Ale to był Orlando, który przecież potrafił hipnotyzować ludzi samą swoją obecnością. Na chwilę o tym zapomniała i przeklinając siebie w duchu, opuściła głowę.

- Więc? - zapytał, biorąc jej milczenie za własne zwycięstwo. Wsunął palec pod jej brodę i uniósł ją tak, by musiała na niego spojrzeć. - Jeśli nie chodzi o tytuł, to dlaczego z takim uporem bronisz zamku?

Isabel zamrugnęła szybko powiekami. Naprawdę nie wiedziała.

- Dlaczego ta cholerna ruina tak ci się spodobała, a piękny dom w Nowym Jorku nie wzbudził w tobie żadnych emocji?

- Nie wiem, o czym mówisz. Ja...

- W takim razie mi to wyjaśnij. - Jego palec musnął jej usta. - Traktujesz naszą relację jak transakcję, do której zostałeś zmuszona. Najpierw próbujesz wyrzucić mnie z życia mojego dziecka. Celowo stawiasz bariery, żeby trzymać mnie z daleka. A jak by tego nie było dosyć, kwestionujesz każdą moją decyzję, obojętne, czy ma związek z małżeństwem albo dzieckiem, czy też nie.

- To nieprawda.

Było to prawie zabawne. Nie, wróć, to byłoby zabawne, gdyby nie musiała stać tutaj i znosić jego karzącego spojrzenia ani czuć na twarzy przyspieszonego oddechu. Lekko przechylił głowę na bok i patrzył na nią triumfalnie, ciesząc się zapewne, że tak łatwo wpadła w pułapkę.

Isabel poczuła, że drżą jej usta. Prawdopodobnie z nerwów.

- Co właściwie chcesz przez to powiedzieć? Że mam po prostu wykonywać twoje polecenia? Bo jeśli tak, to uprzedzam, że nie zamierzam.

- Widzę właśnie. - Potarł palcami powieki, jakby zmęczyła go ta rozmowa.

- Na dobrą sprawę mogłabym powiedzieć to samo o tobie. Ty też negujesz wszystkie moje decyzje. Może po prostu nie pasujemy do siebie?

- Może. - Energicznym ruchem wsunął rękę do kieszeni i obejrzał się w stronę drzwi. - Pora się zbierać.

- Wychodzimy?

- Tak. Wystarczy mi to, co zobaczyłem.

- Przecież dopiero przyszliśmy, nie byłam na górze ani w ogrodzie.

- Powiedziałem, że idziemy.

Minął ją i przeszedł przez hall, gdzie po chwili odgłos jego kroków ucichł. Musiał wyjść albo czekał przy drzwiach. Isabel nie miała zamiaru wsiąść z nim do samochodu. Nie w takim stanie. I tak prowadził za szybko, a teraz dodatkowo był wściekły.

- Ja tu zostaję - krzyknęła za nim. Po sekundzie jego twarz pojawiła się w drzwiach salonu.

- Słucham?

- Zostanę tu jeszcze chwilę - odparła, nie zważając na zirytowany ton jego głosu. - Zamówię sobie taksówkę, jeśli chcesz już jechać.

- W jaki sposób? - zerknął na nią z politowaniem.

- Zwyczajny - odparła, wyjmując z torebki telefon, ale wkrótce mina jej zrzedła. Bez zasięgu nie zamówi taksówki. - Cóż, w takim razie jak dojedziesz na miejsce, wyślij po mnie taksówkę. Mniej więcej za godzinę.

- Ani mi się śni!

Isabel zacisnęła dłonie w pięści i wzniosła oczy do nieba. Dlaczego zawsze musiał być na nie? I dlaczego wszystko musiało się odbywać na jego warunkach?

- Rób, co chcesz, ja idę na górę - powiedziała i obróciła się na pięcie.

- W porządku. Masz dziesięć minut.

Wzruszyła ramionami. Zostanie tutaj, jak długo będzie chciała. I co niby jej zrobi? Złapie w pół i siłą zapakuje do samochodu? Isabel szybko wyrzuciła ten obraz z myśli, zanim miał szansę skojarzyć jej się erotycznie.

- A tak przy okazji - usłyszała z dołu - sprzedaż tej ruiny jest przesądzona. Możesz sobie darować to całe zwiedzanie.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Przechadzając się po zarośniętym ogrodzie, Orlando ponownie sprawdził, która godzina. Dziesięć minut, które jej dał, zmieniło się w piętnaście, potem dwadzieścia. Isabel nadal nie zeszła na dół. W końcu będzie musiał tam wejść i zagrozić, że odjedzie, ale dyrygowanie ludźmi to nie był jego styl, przynajmniej tak do tej pory sądził.

Teraz nie był już niczego pewien. Gdyby ktoś mu powiedział, że dziś odwiedzi dom swojego ojca, popukałby się w głowę. A jednak był tutaj. Z kobietą, którą ledwo znał i która miała urodzić jego dziecko. Co się stało z jego uporządkowanym życiem?

Powrót do Trevente obudził wspomnienia z okresu, kiedy mieszkał tu z ojcem przez kilka tygodni. Gdy samochód minął żelazną bramę posiadłości, poczuł się tak, jakby spowił go żalobny całun. I tylko determinacja Isabel powstrzymała go przed zawróceniem. Tu, na zamku czekały już na niego upiory przeszłości, snujące się po opuszczonych piętrach, zaglądające mu w oczy i pytające: Pamiętasz? Pamiętał każdy szczegół. Początkową ekscytację, że oto otwiera się przed nim nowe życie, jakiego dotąd nie znał. Ekscytacja szybko ustąpiła miejsca znużeniu i zniecierpliwieniu, gdy włóczył się po całym zamku, szukając dla siebie jakiegokolwiek zajęcia i czekając na ojca, który czasem wracał, a często nie. Od życia rodzinnego Carlo Cassano wolał hazard i speluny w Bolonii czy Mediolanie. Przestał zajmować się posiadłością i wkrótce odeszli prawie wszyscy służący, a nawet ogrodnik. Nie obeszło go to ani trochę. Miał swój plan na powiększenie uszczuplonych zasobów pieniężnych i koniecznie chciał w niego wciągnąć długo niewidzianego syna.

Tymczasem Orlando poznał Sophię, śliczną córkę lokalnego handlarza winem. Ojciec zabronił jej spotykać się z nim ze względu na reputację rodu Cassano, ale ich romans rozkwitał

w ukryciu, napędzany romantycznym urokiem zakazanego owocu.

Magazyn był miejscem, w którym się spotykali. Było tu chłodno, ciemno. Pachniało winem i dębowymi beczkami. Idealna kryjówka. Tutaj też zaplanowali spotkanie feralnego wieczora.

Wychodząc, Orlando natknął się na ojca, który jak zwykle, podpity, wtoczył się w drzwi i machając mu przed oczami plikiem banknotów, powiedział, że to zaliczka za wywiązanie się z powierzonego zadania i że dostanie jeszcze więcej, gdy magazyn obróci się w popiół.

Jednak widok pijanego ojca wywołał w nim mdłości i nagle Orlando zdał sobie sprawę z tego, że nie da rady podjąć się zadania. Powiedział mu, że się wycofuje.

Rozpętało się piekło. Carlo Cassano wyładował na swoim synu całą wściekłość, wymachując pięściami i grożąc mu, ale Orlando nie zmienił zdania. Z łatwością odparł fizyczny atak, ale obelgi głęboko wryły się w jego duszę. Nikt dotąd nie nazywał go żalostną kreaturą, tchórzem ani ofiarą losu. I nigdy by się nie spodziewał, że coś takiego może zrobić własny ojciec. Wtedy po raz drugi pożałował, że nosi jego nazwisko.

Wreszcie Carlo Cassano wyszedł na zewnątrz, a Orlando nie zrobił nic, by go zatrzymać. Powinien wiedzieć, co się szykuje. Zamiast natychmiast pójść na spotkanie z Sophią, czekał jeszcze godzinę. Nie mógł spotkać się z nią w takim stanie. Musiał ochłonać.

Tymczasem Carlo skierował swe kroki prosto do magazynu, by jeszcze tej nocy zrealizować swój plan.

Gdy Orlando wreszcie udał się do miasteczka i krętą ulicą zmierzał w stronę doków, zobaczył zamieszanie i ludzi biegnących we wszystkie strony. W powietrzu unosił się swąd spaleni- zny, w oddali buchały kłęby dymu. Zaczął biec, modląc się w duchu, by to nie było to, o czym myślał, ale przechodnie pozbawili go reszty złudzeń. Wpadł do spalonego w połowie budynku i przedzierając się przez płomień dotarł do miejsca, gdzie się umawiali. Do ostatniej chwili miał nadzieję, że może Sophia nie przyszła albo w porę opuściła budynek i teraz czekała na niego bezpieczna, ale mylił się.

Kiedy ją znalazł, zrozumiał, że przybył za późno. Sophia nie oddychała i mimo podjęcia akcji reanimacyjnej, nie udało jej się uratować. Od tamtej pory żył ze świadomością, że przyczynił się do jej śmierci.

Spacerując po ogrodzie, znalazł się przy grobie ojca. Świeżo przekopana ziemia oczekująca na postawienie pomnika przypominała mu, że znajduje się w innym czasie i poczuł taką odrazę i gniew na ojca, jakby ten wciąż przed nim stał.

Po co tutaj przyjechał?

Schylił się i podniósł z ziemi gałąź leżącą w poprzek grobu.

I gdzie, do diabła, podziewała się Isabel?

Wyprostował się i energicznym krokiem ruszył w stronę domu, brodząc w wysokiej trawie poprzetykanej czerwonymi makami.

Doigra się w końcu. Już się doigrała. Nie powinien był pozwolić jej tu zostać. Okazał w ten sposób słabość, a ona miała okazję po raz kolejny zademonstrować ośli upór, którym go doprowadzała do szewskiej pasji. Po chwili jednak przypomniał sobie, jak pięknie wyglądała przy schodach, gdzie ją zostawił. Wyprostowana, z dumnie uniesioną głową i jakby wydatniejszym biustem, od którego nie mógł oderwać oczu. Zielona letnia sukienka z cienkiego materiału podkreślała kolor jej oczu.

Jak ona to robiła, że miał ochotę porwać ją w ramiona i całować, choć wiedział, że nie może tego zrobić. Na pewno była piękna, ale przecież poznał wiele pięknych kobiet w swoim życiu i żadna nie działała na niego tak jak ona.

Coś, co kazało mu patrzeć i upajać się każdym gestem, każdym słowem, aż jego udręczone ciało kipiało pożądaniem. Gdyby tylko mógł, zatrzymałby ją wtedy na schodach i przyciągnął do siebie, by mogła poczuć, jak bardzo jej pragnie. Ale Isabel zdawała się tego wszystkiego nie zauważać albo może specjalnie traktowała go z wyższością, drażniła się z nim, by do reszty stracił nad sobą panowanie.

Cóż, gratulacje, panno Spicer. Uderzył trzymaną w rękę gałęzią o kolano, łamiąc ją na pół i odrzucił daleko od siebie. Przeskakując po dwa kroki schody, szarpnął kłamkę i wparował do hallu. Obyś tylko tego nie pożałowała!

Dotarłszy na galerię, zatrzymał się i mocno zacisnął dłoń na poręczy. Drzwi do pokoi były pozamykane, z wyjątkiem jednych. Ruszył tam, niesiony jakąś determinacją, od której krew buzowała mu w żyłach.

Isabel stała naprzeciwko okna i nawet nie drgnęła, chociaż musiała słyszeć jego kroki.

Szczupła sylwetka obrysowana czystym błękitem nieba i pomarańczowo-czerwonymi refleksami zachodzącego słońca wyglądała jak delikatna roślina.

Podszedł zupełnie blisko.

- Isabel!

Odwróciła się w jego stronę, trzymając palec na ustach. Tego już było za wiele! Najpierw kazała mu na siebie czekać prawie godzinę, a teraz jeszcze go strofowała jak małego chłopca. Ale to była cała ona. Nie słuchała, co do niej mówi, traktowała go lekceważąco i celowo podkopywała jego autorytet. Miał tego dosyć.

Znajdował się dosłownie milimetry za nią. Tak blisko, że zapach delikatnych kwiatowych perfum wypełnił mu nozdrza, a przyspieszony oddech poruszał pasma włosów na jej głowie. Uśmiechnął się. Isabel mogła udawać, że nic do niego nie czuje, ale on wiedział, że to nieprawda. Zawsze spinała się, gdy był blisko, i teraz też wyraźnie to wyczuł. Mógł podnieść rękę, odsunąć z jej karku włosy i pocałować ją. Sunąłby ustami po jasnej skórze aż do płatka ucha i zatrzymałby się, czekając, aż gorący oddech roznieci w niej płomień pożądania. A dalej...

Dalej nic, ponieważ wcale nie zamierzał jej całować. Rozwijanie tej fantazji było niebezpieczne. Czuł narastające podniecenie, które domagało się od niego działania. A tego nie miał w planach. Miał jej tylko pokazać, że cała ta chłodna fasada mogła runąć w każdej chwili. Wystarczyłoby skinąć palcem i poszłaby za nim, błagając, by ją wziął.

- Dałem ci dziesięć minut.

- Popatrz - odparła, ignorując jak zwykle jego słowa, i wskazała palcem na scenę za oknem. W oddali pod lasem zobaczył stado saren. Młode skubały trawę, starsze czujnie obserwowały otoczenie.

- *Caprioli* - powiedział przyciszonym tonem, który nawet jego zaskoczył. Znowu się jej podporządkował. Niech to szlag!

- Są twoje?

- Nie mam pojęcia, ale jeśli tak, to już niedługo zmienią właściciela.

Słyszając tę odpowiedź, odwróciła się gwałtownie i położyła mu dłoń na piersi, jakby chciała go odepchnąć albo może nie pozwolić mu się zbliżyć. Trudno było powiedzieć.

- Zupełnie cię nie rozumiem, Orlando!

Jej oczy nabrały barwy głębokiej zieleni. Oderwała ręce od jego koszuli jak oparzona i skrzyżowała je na piersi.

- Nigdy bym nie pomyślała, że należysz do ludzi, którzy uciekają od odpowiedzialności.

- Słucham? - Patrzył na nią rozkojarzony.

- To właśnie robisz. Uciekasz od przeszłości. - Przechyliła głowę lekko w bok i przyglądała mu się. - Wolałbyś sprzedać rodową posiadłość jakiejś sieci hotelowej albo rozebrać ją do ostatniej cegły niż zastanawiać się nad tym, co doprowadziło do tego, że twój ojciec był takim, a nie innym człowiekiem.

- Dosyć tego! - huknął Orlando. Obrzucił ją wściekłym spojrzeniem. Zaróżowione policzki w połączeniu z długimi rzęsami rozczuliły go do tego stopnia, że niemal zapomniał o tym, co miał jej do powiedzenia. - Nie będę słuchał tej taniej psychologii.

- Dlaczego? Boisz się usłyszeć prawdę?

Zamilkł, a długa przerwa nie wróżyła w jego przypadku niczego dobrego.

- Zapominasz, kim jesteś, Isabel. Nosisz moje dziecko, ale to wszystko, co nas łączy. Nie masz prawa mieszać się do moich spraw ani mówić do mnie takim tonem. Nigdy! Zrozumiałaś?

- Ktoś musi ci to powiedzieć - odezwała się niezrażona. - Ktoś musi cię przekonać, że sprzedaż posiadłości oznacza utratę jej na zawsze. Ktoś musi ci powiedzieć, że nie myślisz logicznie...

- Ach, więc wiesz nawet, o czym myślę? - zaśmiał się szyderczo. - W takim razie podziel się tym ze mną. No, dalej, powiedz, o czym myślę w tej chwili.

- Nie bądź śmieszny, Orlando! - odparła i chciała go wymi-

nać, ale złapał ją za nadgarstek i zatrzymał.

- Jeśli tak dobrze mnie znasz i potrafisz czytać w moich myślach, to mów. Umieram z ciekawości.

- Nie mam pojęcia - powtórzyła, próbując uwolnić się z uścisku.

- Naprawdę? - Opuścił głowę i jego usta znalazły się tak blisko, że niemal mógł poczuć atlasową miękkość policzków. Odchyliła głowę na bok. Wysunął język, dotykając zagłębienia w obojczyku. - Teraz już wiesz?

- Przestań, proszę...

- Nie jesteś zbyt przekonująca. - Podniósł głowę na tyle, by pochwycić jej spojrzenie. Szmaragdowe oczy spoglądały na niego jakby zza mgły. Widział, że z trudem opiera się instynktowi. Słyszał chaotyczne uderzenia jej serca, na twarzy czuł płytki oddech.

- Chcesz powiedzieć, że ktoś, kto chwali się tak niesamowitą intuicją, nic nie czuje?

- Absolutnie nic.

Isabel odchyliła głowę bardziej, biodra kusząco wysunęły się w przód.

- W takim razie będę się musiał bardziej postarać.

Odwrócił jej twarz ku sobie, żeby musiała na niego spojrzeć. Jego palce zanurzyły się w miękkich włosach. Wyraźnie nie mogąc oprzeć się pieszczocie, Isabel rozchyliła usta. Jeśli chciała zaprotestować, niech lepiej zrobi to szybko, bo gdy zacznie ją całować, nie przestanie, aż całkowicie mu się podda.

Nie napotkał oporu. Ledwie ich usta się zetknęły, poczuł, że Isabel poddaje się mocnemu pocałunkowi, którego erotyczny ładunek zaskoczył nawet jego. Była gotowa nie tylko na to, by oddać mu swoje usta.

- Nadal nic nie czujesz? - zapytał, odrywając się na chwilę od jej wilgotnych, czerwieńszych niż zwykle warg.

Była zakłopotana.

- Orlando, ja...

- Potrzebujesz lepszych argumentów?

Patrząc na zaróżowione policzki, oczy, w których błyszczało podniecenie, piersi unoszące się od przyspieszonego oddechu,

Orlando z pewną satysfakcją pomyślał, że Isabel nie wykpi się tak łatwo z całej tej sytuacji.

- Jeden pocałunek nic nie znaczy, Orlando, i niczego nie dowodzi.

Jednak pomimo opanowanego tonu, wyczuł, że Isabel Spicer resztkami sił próbuje nie dać się ponieść emocjom.

- Tak? Więc to też chyba nie będzie miało znaczenia. - Przyciągnął ją do siebie i przechylił w tył. Potem schylił się i wsunął ramię pod jej kolana. Uniósł ją z taką wprawą, jakby robił to codziennie.

- Orlando! - Isabel instynktownie złapała go za szyję. Z każdym krokiem ciepło bijące od jej ciała podniecało go coraz bardziej. Niósł ją w stronę przykrytego zasłoną mebla, który musiał być łóżkiem.

- Puść mnie! - Na szyi poczuł gorący oddech. Palce, które wpijały się w jego szyję, sprawiały mu delikatny ból.

- Jeszcze chwila - powiedział. Wyciągnął rękę i szarpnął białą płachtę, która z szelestem opadła na podłogę. Nogą odsunął ją na bok i wciąż trzymając Isabel w ramionach, wszedł razem z nią na łóżko, ułożył ją i usiadł okrakiem, blokując jej kolana, by nie mogła się ruszyć.

- Lepiej? - Nie mógł sobie darować szelmowskiego uśmiechu. - Czy o to ci chodziło?

Pochylił się nad nią, podpierając się rękami na materacu.

- Wiesz, że nie - odparła i próbowała podciągnąć się na łokciach, ale wtedy jej twarz znalazła się tuż pod jego ustami i dała za wygraną.

Odzyskał nad nią kontrolę. Nareszcie, pomyślał, czując erekcję rozsadzającą mu spodnie.

- Powiedz, że tego nie chcesz, Isabel - wyszeptał, jedną ręką rozpinając pasek spodni.

Nie odpowiedziała.

- Powiedz, że nie chcesz się ze mną kochać - nalegał, siłując się ze spodniami.

Isabel wpatrzona we fragment nagiej skóry tuż nad wyrzuszonymi bokserkami, oddychała coraz ciężiej.

- Mów! To twoja ostatnia szansa. - Wyprostował się, czekając

na jej decyzję. Palce powoli rozpinały guziki koszuli.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Wstrzymała oddech, bez słowa obserwując naprężone mięśnie, gdy zrzucił z ramion koszulę. Potem przełożył nogę na bok i wstał z łóżka. Pochylił się i zsunął z bioder spodnie, a gdy się wyprostował, stał przed nią zupełnie nagi. Szczupły, z szerokimi barkami, opalonym ciałem i imponującym wzwodem.

Jej łakome spojrzenie ślizgało się po muskularnym torsie, wytrenowanym brzuchu, mocnych udach. Musiał wiedzieć, że żadna kobieta mu się nie oprze.

Zirytowana tym, próbowała odwrócić oczy, ale było to niemożliwe. Iskra pożądania, którą w niej rozpałił, płonęła coraz żywiej, wypełniając jej biodra i piersi.

Napotkała jego spojrzenie tak pełne satysfakcji, że aż się zawstydziała. Ciało ją zdradzało. Przyspieszony oddech, błyszczące oczy, sutki widoczne pod cienkim materiałem sukienki, drżenie ud, którego w żaden sposób nie mogła opanować. I wyobraźnia, która kazała jej wybiec w przód i myśleć o tym, co się za chwilę zdarzy.

Podejdzie bliżej, a ona weźmie go w usta i doprowadzi do rozkoszy. Tak jak to robili podczas gorących nocy na Jacamar. Czując, że robi się mokra, czekała na kolejny krok. Jego albo swój.

Orlando wślizgnął się do łóżka i usiadł na niej okrakiem. Niecierpliwa dłoń zadarła jej sukienkę do góry, palce dotknęły cienkiego materiału skąpych fig, które oblepiały ją i drażniły. Jęknęła bezgłośnie, gdy wsunął w nią palce. W tej samej chwili poczuła na sobie jego władcze usta i poddała się.

Nie, to nie było możliwe. Nie tak szybko! Isabel drżała pod jego dotykiem, a przecież nawet w nią nie wszedł. To była dopiero gra wstępna, a ona już gotowa była rzucić się w wysokie fale orgazmu.

- Zaczekaj - mruknął, przerywając i dając jej chwilę wytchnienia.

Wyprostował się i podciągnął jej sukienkę wyżej, aż do talii. Złapał po bokach cienkie paski materiału fig i zsunął je z drżących nóg. Pozwoliła mu.

Rozsunął jej uda szerzej i dotknął pulsującej kobiecości twardego penisem. Wysunęła biodra w jego stronę i pociągnęła go na siebie. Wszedł płynnie, nie czując najmniejszego oporu. Jej mięśnie obejmowały go, zaciskając się wokół niego. Gwałtowna fala przyjemności przeszła jego ciało.

Isabel szybko odnalazła rytm. Upojny, rozkołysany. Napięcie rozsadzało ją od środka, szukając ujścia. Wygięła się w łuk, gdy Orlando szarpnął sukienkę od góry, odsłaniając jej ramiona i piersi, które całował bez opamiętania.

Przestała myśleć. Do jej mózgu docierały tylko zapach i smak jego skóry, moc pchnięć, które przybliżały ją do spełnienia, i jej własne szepty, w których powtarzało się jego imię. Ach, gdyby ta chwila mogła trwać wiecznie. Nie zamieniłaby jej na nic innego.

- Teraz - krzyknęła i poczuła, jak Orlando zwalnia. Wypełniło ją ciepło i błogość. Otworzyła oczy. Zsunął się z niej i gładził dłonią wilgotną, rozgrzaną skórę na jej brzuchu.

Nie była w stanie mówić. Ale jej oczy wyrażały wszystko. Odanie, podniecenie, szczęście. To było jego dzieło, pomyślał z satysfakcją i poczuł się jak zwycięzca.

- Późno już - powiedział. Unikając patrzenia na nią, opuścił nogi na podłogę i przez chwilę siedział bez ruchu odwrócony do niej plecami. Miała wrażenie, że żałuje tego, co zrobił.

- Musimy się zbierać. - Szorstkie brzmienie głosu zabolowało ją. Dopiero co trzymał ją w ramionach, a w następnej chwili traktował jak powietrze.

Wstał i pospiesznie zebrał ubrania porozrzucone po podłodze. Patrzyła, jak naciąga na siebie bokserki, potem dżinsy. Drgnęła, słysząc szcęk sprzączki od paska. Wciąż śledziła każdy jego ruch, gdy odwrócił się, trzymając w dłoniach koszulę.

- Isabel?

Ponure spojrzenie wyrwało ją z zamyślenia i sięgnęła po figi. Cienki materiał zrolował się zupełnie i drżącymi palcami próbo-

wała rozprostować go na tyle, by się ubrać. Założyła sukienkę i rozejrzała się, szukając torebki.

- To, co się zdarzyło...

Wyprostowała się i uniosła obie ręce ku górze.

- Jeśli masz zamiar powiedzieć, że to nie powinno się zdarzyć, daj spokój, doskonale o tym wiem... - powiedziała szybko, starając się ukryć rozczarowanie.

- Nie to chciałem powiedzieć. - Jego głos brzmiał beznamiętnie.

- Możesz też nie mówić, że jest ci przykro. - Isabel przeczesła palcami włosy, doprowadzając je do porządku. - To byłoby jeszcze gorsze.

- Co się z tobą dzieje, Isabel? Mam dość twoich domysłów.

Umilkła, patrząc, jak zapina guziki koszuli.

- Chcę, żebyś wiedział, że nie musisz mnie przeproszać.

- Nie zamierzałem cię przeproszać.

Podszedł bliżej i ujął jej twarz w obie ręce. Przyglądał jej się z uwagą.

- Chciałem się tylko upewnić, że wszystko w porządku.

- W jak najlepszym. Chyba widzisz - powiedziała łagodniejszym tonem.

- A dziecko? Nie byłem zbyt... brutalny?

Ach, więc o to chodziło? Nie dbał o nią ani o to, że właśnie zaczęli coś, z czego trudno się im będzie wykaraskać. Po prostu myślał o dziecku.

Uniosła brodę do góry.

- Możesz być spokojny, dziecko i ja czujemy się wyśmienicie.

- *Bene* - odparł wyraźnie zadowolony i poszedł w stronę drzwi. Odwrócił się już przy wyjściu.

- Gotowa jesteś?

Isabel zerknęła na łóżko za sobą i nagle zapragnęła stąd uciec, jakby ją goniły przykre wspomnienia.

- Tak, chodźmy.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Całkowicie wybudzona ze snu, ubrana i spakowana, Isabel czekała, gotowa opuścić hotel o świcie.

Poprzedniego wieczora Orlando powiedział jej, że samolot zabierze ich rano do Londynu, a potem on sam poleci dalej do Nowego Jorku. Następnie otworzył laptop i nie zwracając na nią więcej uwagi, pogрузił się w pracy. Nie obeszło ją to. Nie miała ochoty na rozmowę.

Kiedy położyła się do łóżka, miała nadzieję, że sen pomoże jej zapomnieć, ale najpierw długo nie mogła zasnąć. Patrząc w sufit, próbowała poukładać sobie wszystko, co wydarzyło się w ostatnich kilku tygodniach. Cięża, Orlando, ich przyjazd tutaj. Najbardziej cieszyła się z dziecka. Jeszcze nie było po niej widać, że jest w ciąży, a ona już kochała swoją przyszłą córkę albo syna całym sercem. Nigdy wcześniej nie wyobrażała sobie siebie w roli matki. Uważała, że się do tego nie nadaje.

Ale gdy zupełnie nieoczekiwanie zaszła w ciążę, uznała ją za coś naturalnego. Uwierzyła, że potrafi stworzyć dziecku prawdziwy dom, nawet gdyby miała to zrobić sama. Nie bała się odpowiedzialności.

Odkryła też, że ma w sobie całe pokłady miłości, które gotowa była przelać na istotę, która dopiero się w niej rozwijała. Rozczulało ją to za każdym razem.

Obawiała się tylko tego, że Orlando tak bardzo chciał ingerować w jej przyszłość. Myślała, że, jak większość facetów, poczuje ulgę, gdy zwolni go z odpowiedzialności. Ale on chciał być obecny w życiu dziecka, a to automatycznie oznaczało jego ciągłą obecność także w jej życiu.

Nad ranem doszła w swoich rozmyślaniach do wydarzeń z poprzedniego dnia. Była wściekła, że nie przeciwstawiła mu się, a jednocześnie rozpamiętywała każdą sekundę od chwili, gdy Orlando przyszedł po nią na górę.

Wspomnienie jego silnych rąk, kiedy zaniósł ją do wielkiego łoża, obezwładniającej rozkoszy, jaką sprawiały jej pieszczoty, pocałunki i samej jego obecności, sprawiły, że usiadła i sięgnęła po szklanę wody. Kompletne szaleństwo, pomyślała, czując śliską wilgoć między udami.

Położyła się na boku, zacisnęła powieki i próbowała myśleć o czymś neutralnym, ale każda myśl prowadziła ją z powrotem do punktu wyjścia. Zasnęła na krótko i obudziła się zrana potem, uświadamiając sobie straszną prawdę. Prawdę, którą próbowała odsunąć od siebie od czasu, gdy Orlando podał jej rękę i pomógł wsiąść z motorówki na wyspie Jacamar.

Zakochała się w nim! Bez pamięci, jak ostatnia idiotka. Była to dla niej druzgocąca wiadomość. Przede wszystkim dlatego, że jej uczucie pozostanie nieodwzajemnione. Tutaj w Trevente odkrył przed nią swoją drugą twarz. Twarz człowieka chłodnego i pozbawionego serca. W istocie pragnął jedynie sprawować nad wszystkim kontrolę. Nigdy nie okazywał uczuć. Chyba że zaliczyć do nich poirytowanie, frustrację lub pożądanie.

Wstała z łóżka, wyłączyła alarm przed czasem i wyszła ze swojej sypialni. W suicie panowała cisza. Drzwi do jego pokoju były otwarte, ale jego najwyraźniej tam nie było.

Odsunęła drzwi balkonowe i wyszła na zewnątrz. Spojrzała na szklaną podłogę pod nogami i zrobiło jej się słabo. Widok fal rozbijających się w dole o skały przeraził ją. Przełknęła strach i drobnymi kroczkami podeszła do balustrady, którą chwyciła mocno obiema rękami. Dopiero potem podniosła głowę, obejmując spojrzeniem szerszy fragment rozpościerającego się przed nią widoku. Adriatyk mienił się srebrzystą poświatą w blasku wstającego słońca. Niebo miało kolor mlecznoniebieski, na wodzie kołysały się kutry i żaglówki wypływające i wracające do portu. Gdzieś z oddali dolatywały do jej uszu krzyki mew niesione przez lekką bryzę.

- *Buongiorno.*

Isabel odwróciła się gwałtownie i jeszcze mocniej złapała się dłońmi poręczy.

W drzwiach balkonowych stał Orlando ubrany w spodnie dresowe i koszulkę z krótkim rękawem, wilgotną i oblepiającą wy-

rzeźbiony tors.

- Dzień dobry - odpowiedziała, nie mogąc oderwać oczu od błyszczących od potu muskularnych ramion. - Biegałeś?

- Si. - Pociągnął łyk wody z butelki trzymanej w ręku. - Nie mogłem spać. A ty? Jak się czujesz?

- Dobrze. - Isabel westchnęła zrezygnowana. Dlaczego ciągle o to pytałeś? Denerwowała ją ta bezustanna kontrola.

- Pójdę pod prysznic. Jeśli masz ochotę, zamów dla nas śniadanie. Wracam za dziesięć minut.

Kelner zdążył rozstawić filiżanki, gdy Orlando wyszedł ze swojej sypialni, a wraz z nim pojawiła się nuta rześkiego aromatu cytrusowej wody po goleniu. Miał na sobie ciemne dżinsy i białą, sportową koszulę z rękawami zawiniętymi do łokci. Był chłodno uprzejmy i zdystansowany.

- Nie wolałaś zjeść na balkonie?

Rozpostarł serwetkę i przysunął do siebie filiżankę z parującą kawą.

- Chyba nie - powiedziała.

Poranne mdłości raz się pojawiały, a raz nie. Wolała nie ryzykować sprintu do łazienki aż z balkonu.

- Jest za jasno - dodała, patrząc spod przymrużonych powiek na wschodzące słońce.

Orlando zawahał się, jakby chciał coś powiedzieć, po czym nałożył sobie na talerz solidną porcję płatków śniadaniowych, dorzucił świeżych owoców i zalał całość mlekiem.

Isabel upiła mały łyżeczek swojej herbaty rumiankowej, zastanawiając się, czy da radę przełknąć cokolwiek z potraw, które przyniósł kelner.

- O której wylatujemy?

- Była mała zmiana planów. - Orlando spojrzął na nią przelotnie. Przełożyłem rezerwację na wieczór.

- Ach tak. - Isabel nie miała zamiaru robić mu wyrzutów. Mogła poczekać do wieczora. - Jeśli chodzi o wczoraj...

Co ją podkusiło, żeby znowu do tego wracać? No cóż, była to jedyna rzecz, na której była w stanie się skupić. Poza tym czuła, że jeśli nie załatwi tego tematu do końca, wróci on do niej jak bumerang. A tego chciała uniknąć?

- Wczoraj? - powtórzył, nie przerywając jedzenia.

- Tak. Chcę cię zapewnić, że to się więcej nie powtórzy.

- Okej. - Nareszcie spojrzał na nią z większym zainteresowaniem. - I jesteś tego pewna?

- Tak, absolutnie. Powinniśmy skupić się na interesach. Mamy mnóstwo pracy.

- Naprawdę?

- Tak, wszystko to przemyślałam. Jeśli sprzedaż będzie szła zgodnie z planem, w ciągu dwunastu, najpóźniej osiemnastu miesięcy powinnam odkupić te dwadzieścia procent udziałów od Cassano Holdings, co da mi większościowy udział.

- A co z dzieckiem, Isabel? - przerwał jej trzeźwiącym tonem.

- Czy planujesz także odkupić moje pięćdziesiąt procent udziałów w wychowaniu dziecka?

- Nie bądź śmieszny. - Isabel odłożyła łyżeczkę na spodek i popatrzyła na niego. Ciemne oczy błyszczały gniewnie.

Dokładnie wiedziała, co robi. Chciała się skoncentrować na jedynej rzeczy, nad którą miała kontrolę: na biznesie. W tym celu musiała pchnąć interesy naprzód i przejąć większościowy pakiet udziałów.

Natomiast jeśli chodziło o dziecko... Nie miała pojęcia, jak wszystko się ułoży. Wiedziała tylko tyle, że Orlando nie jest skłonny do żadnych negocjacji.

- Musimy wymyślić rozwiązanie, które będzie najkorzystniejsze dla dziecka. Zaproponuj coś, co będzie nam obojgu odpowiadało - powiedziała spokojnym tonem.

- Cieszę się, że masz do tego takie podejście, bo właśnie coś takiego wymyśliłem.

Ton tej niespodziewanej deklaracji zaalarmował ją.

- Mów dalej.

- Castello Trevente... posiadłość rodowa, postanowiłem jej nie sprzedawać.

- Naprawdę? - Zaskoczył ją, i to mocno. - Dobrze, że to przemyślałeś.

Isabel powinna cieszyć się z pokonania Orlando w walce na argumenty, ale z jakiegoś powodu była tylko bardziej zdenerwowana.

- Można wiedzieć, z jakiego powodu zmieniłeś zdanie?

- To twoja zasługa, Isabel - powiedział i sięgnął po dzbanek, by dolać sobie kawy. - Dzięki tobie zrozumiałem, że dziedzictwo nie należy wyłącznie do mnie. Będziemy mieć dziecko, to ono odziedziczy majątek i tytuł.

- Naprawdę coś takiego powiedziałam? - Isabel poczuła jak strużka zimnego potu spływa jej po kręgosłupie. Panika zawładnęła jej myślami. Nie chodziło jej przecież o to, by ich nienarodzone dziecko stało się zakładnikiem tej sprawy. - Cóż, cieszę się, że zmieniłeś zdanie, Orlando. To właściwa decyzja, ale... - zawahała się, czując, że brnie przez pole minowe. - Ale chyba jeszcze trochę za wcześnie decydować o przyszłości naszego dziecka?

- Wręcz przeciwnie - zaprotestował z zapałem. - Dużo nad tym myślałem. To najlepsze rozwiązanie. - Patrzył na nią tym władczym spojrzeniem, którego tak nie znosiła. - Castello Trevente będzie naszym nowym domem.

Oparł się o krzesło i z zadowoleniem obserwował jej reakcję. Isabel zacisnęła usta i przełknęła ślinę. Lekko drżącymi palcami objęła smukłą szyję, policzki zbladły jej jeszcze bardziej, stając się białe jak papier.

Spróbuj się z tego wykaraskać, pomyślał z satysfakcją. Isabel nie była skłonna przyjąć niczego bez walki, a tu proszę, będzie musiała zanegować własny pomysł, przy którym tak się upierała. Tym razem to on wygra. Potrzebował tego po tym, jak wczoraj całkowicie stracił nad sobą kontrolę.

Do tej pory nie wiedział, jak to się stało, że wylądowali w łóżku. Wydarzenia, które do tego doprowadziły, pamiętał jak przez mgłę. Na pewno rozżłościła go ta psychologia dla ubogich, którą z upodobaniem uprawiała, mówiąc mu, co ma myśleć albo czuć. Jednak w jakiś sposób wściekłość zmieniła się w zwierzęce pożądanie i doprowadziła do najbardziej szalonego seksu, jaki pamiętał w swoim życiu. Czy żałował? Nie. Nawet jeśli Isabel próbowała mu przekazać, że, owszem, żałuje i od teraz ich relacja powinna ograniczyć się do spraw zawodowych. Szczerze mówiąc, biznes był ostatnią sprawą, jaka go teraz interesowała.

Orlando spędził pół nocy, oglądając ich sytuację z każdego

możliwego punktu widzenia. Rano wyszedł z hotelu i przebiegł piętnaście kilometrów, katując swoje niewyspane ciało, ale wreszcie przyszło mu do głowy idealne rozwiązanie.

Skoro Isabel tak bardzo się upierała, by zachować castello Trevente, to jasne było, że właśnie tutaj powinni zamieszkać i tu wychowywać dziecko. Powinna docenić, że posłuchał jej argumentów i że jest gotów dostosować swoje życie do potrzeb dziecka w taki sam sposób, jak oczekiwał tego od niej. I, rzecz jasna, ochroni w ten sposób prawo dziecka do jego korzeni. Nad tym, musiał przyznać, nigdy się nie zastanawiał.

Obawiał się jednego. Powrót do Trevente oznaczał konieczność zmierzenia się z demonami przeszłości. Śmierć Sophii odcisnęła piętno na całym jego późniejszym życiu. Poczucie winy trawiło go z niezmienną siłą przez cały ten czas i nic nie było w stanie go zagłuszyć. To on był winny jej śmierci, do której by nie doszło, gdyby wtedy powstrzymał ojca... gdyby nie byli umówieni właśnie w magazynie... gdyby się w sobie nie zakochali.

Ale jeśli walka z przeszłością była krokiem koniecznym na drodze do zapewnienia przyszłości sobie i dziecku, stanie do niej bez względu na wszystko. Może zresztą to nie był taki zły pomysł. Myśl o wspólnym życiu z Isabel wydawała mu się równie przyjemna, co straszna. Jak przejazd kolejką górską, wspinaczka bez liny zabezpieczającej przed upadkiem czy stąpienie po rozżarzonej węglu. Był jeszcze seks... Taki, w którym można się było zatracić. Musiał dopilnować, by nie przerodził się w coś więcej. Musiał chronić Isabel przed mroczną stroną swojej natury. Wystarczyło mu, że jego serce spłonęło w pożarze z przeszłości. Nie potrzebował nowej tragedii ani nowych ofiar.

- Proponujesz, żebym przeniosła się do Włoch? - spytała drżącym głosem. - Żebyśmy zamieszkali w castello Trevente razem?
- Sì.

Na jej czole pojawiła się zmarszczka. Niemal widział, jak w popłochu szuka wyjścia z labiryntu, w który sama się zapędziła.

- Tak bardzo spodobało ci się to miejsce, że nie miałbym serca... - odparł, usiłując zapanować nad mimiką. - Do Londynu

masz stąd nieco ponad dwie godziny. Wyznaczymy kogoś, żeby pilnował spraw w warsztacie. Będiesz miała do dyspozycji prywatny samolot. Poza tym będziesz blisko fabryki, to duża zaleta.

Isabel potrząsnęła głową.

- Nie mogę, Orlando. Nie mogę wyjechać z Anglii. Jest coś, a raczej ktoś, o kim ci nigdy nie mówiłam.

Kleszcze strachu ścisnęły jego żołądek. Był ktoś inny!

- Kto taki? - zapytał blaszanym głosem.

- Moja matka - wydusiła z siebie z wyraźnym oporem.

- Twoja matka? - Strach ustąpił miejsca nagłej irytacji. Co jej matka mogła mieć z tym wspólnego. Isabel naprawdę była gotowa chwycić się najgłupszych wymówek.

- Mieszka pod Londynem.

- I co w związku z tym?

- Jest chora, potrzebuje mnie. Nie mogę się wyprowadzić do innego kraju.

- To wynajmij opiekunkę, pielęgniarkę, jeśli trzeba, albo zabierz ją ze sobą, wszystko mi jedno! - Zaczynał tracić cierpliwość. Czyżby myśl o zamieszkaniu z nim była dla Isabel aż tak odpychająca?

- Sam powiedziałeś, że dom jest w ruinie. To nie jest miejsce dla noworodka ani osób starszych, szczególnie zimą!

- Isabel, przecież powiedziałem, że zrobię remont. Mam dziś spotkanie w tej sprawie z architektami.

- Dzisiaj?

- Tak, lecą tu właśnie z Nowego Jorku. Mamy się z nimi spotkać na zamku o trzeciej, dlatego przełożyłem lot na wieczór.

Isabel siedziała zupełnie osłupiała, a z przedłużającego się milczenia wywnioskował, że się poddała. Z niecierpliwością czekał na to, co powie. Cokolwiek by to było, miał przygotowaną odpowiedź. Tym razem mu się nie wywinie.

Kiedy w końcu otworzyła usta, znowu go zaskoczyła.

- Dobrze - powiedziała, prostując się. - Jeśli uważasz, że to najlepsze rozwiązanie, zgadzam się. Przeprowadzę się tutaj i zamieszkamy razem.

- *Bene* - odpowiedział. Badawcze spojrzenie nie opuszczało jej twarzy. Być może krył się za tym jakiś podstęp, ale na razie

nic na niego nie wskazywało.

Wrócił do śniadania.

- Chyba wszystko mamy już omówione. - Lukas, jeden z sześciu architektów zaproszonych przez Orlanda na spotkanie, podniósł głowę znad rozpostartego na stole planu i spojrzał pytająco po reszcie zebranych. - Musimy tylko zdecydować, gdzie będzie pokój dla dziecka.

Isabel poczuła, że jej twarz oblewa się rumieńcem. Orlando musiał im powiedzieć, że jest w ciąży. Dlaczego czuła się z tym nieswojo? Może dlatego, że sama jeszcze nikogo nie poinformowała o ciąży, nawet własnej matki. Tymczasem on rozgłaszał to każdemu, nawet kompletnie obcym ludziom.

Rozejrzała się wokół. Młodzi w większości ludzie mieli na twarzy wymalowany entuzjazm. Chętnie zamieniłaby się miejscami z którymś z nich.

Odkąd skończyła siedemnaście lat, a właściwie od czasu wypadku, jej życie przypominało pokój z przygaszonym światłem. Poruszała się w nim po omacku, nigdy nie wiedząc, czy czegoś nie przewróci i nie narazi się na wyrzuty matki. Poza krótkimi chwilami radości, które dawały jej sukcesy w pracy, non stop czuła się przygnieciona żalobą, odpowiedzialnością i niekończącym się poczuciem winy.

- Może tutaj? Obok głównej sypialni. - Niesamowicie atrakcyjna blondynka o imieniu Millie postukała polakierowanym na bordowo paznokciem w papier. - A może wolałaby pani piętro wyżej? Można by zaaranżować suitę z pokojem dla dziecka, garderobą i pokojem z łazienką dla niani...

- Nie. - Ostry ton, jakim jej przerwała, zaskoczył ją samą. - To znaczy... Chciałam powiedzieć, że nie wiem, czy w ogóle będziemy mieć nianię. - Popatrzyła znacząco w stronę Orlanda. Nie miała ochoty odpowiadać na te wszystkie pytania, ale on wzruszył tylko ramionami. W ogóle mało się udzielał podczas tego spotkania i po jakimś czasie wszyscy zwracali się wyłącznie do niej. Orlando miał tylko dwa życzenia: siłownię i basen.

- W takim razie pokój obok sypialni - zdecydowała Isabel, nie spuszczając oczu z Orlanda.

- Świetnie. - Millie podążyła za jej spojrzeniem i wyprostowała się. - Cieszę się, że wybrał pan naszą firmę. To zawsze przyjemność pracować dla pana, ale... - Głos zadrżał jej z emocji. - Ten projekt to po prostu marzenie!

Reszta zespołu zaczęła klaskać, a Orlando skinął uprzejmie głową. Isabel dostrzegła jednak coś więcej. Sposób, w jaki Millie odgarnęła włosy za ucho, jej uśmiech... Nie mogła się mylić. Ona z nim flirtowała! Ukłucie zazdrości postawiło ją na nogi.

Wiedziała, że zachowuje się irracjonalnie, ale nie mogła nic na to poradzić. Zrobiło jej się duszno.

- Jeśli to wszystko na dziś, to ja już się pożegnám. Muszę rozprostować nogi.

- Oczywiście. - Blondynka wyciągnęła do niej rękę na pożegnanie. Za jej przykładem poszła reszta architektów.

Wychodząc, rzuciła jeszcze okiem na rozpromienioną Millie i przyspieszyła kroku. Wyszła na schody i zeszła do ogrodu. Nareszcie, pomyślała, rozprostowując zastałe mięśnie nóg i ramion. Siedzieli przy tym stole chyba ze dwie godziny. Ale przynajmniej udało się omówić większość spraw. Nie miała wątpliwości co do tego, że castello Trevente przejdzie całkowitą metamorfozę. Ale mimo to trudno jej było sobie wyobrazić, że tutaj mieszka.

Zdawała sobie sprawę z tego, że brakiem protestów zaskoczyła Orlanda. Ale przecież musieli gdzieś zamieszkać, a on proponował jej zamek. Takie rzeczy nie zdarzają się codziennie. Był też inny powód, którym się z nim nie podzieliła. Jej matka, Nancy. Orlando powiedział, że mogłaby z nimi zamieszkać. To był świetny pomysł. Isabel od dawna przypuszczała, że pobyt w domu opieki nie służy matce. Miała tam wszystko, co było jej potrzebne, ale przy każdej wizycie Isabel czuła wyrzuty sumienia. Odrzucał ją zwłaszcza ten specyficzny zapach będący mieszaniną środków dezynfekujących i kwiatów.

Isabel zabrałaby ją stamtąd, gdyby mogła zapewnić jej odpowiednie warunki. Ale jej mieszkanie było za małe, poza tym matka większość dnia spędzałaby w nim sama. Razem doszły do wniosku, że w takiej sytuacji lepszym wyjściem będzie dom opieki.

Włochy wydawały się idealnym miejscem. Mogłyby mieszkać w jednym domu, a i tutejszy klimat na pewno bardziej by odpowiadał matce. Isabel postanowiła podsunąć jej ten temat zaraz po powrocie do Anglii. Musiała tylko ubrać go w takie słowa, by matka nie mogła odmówić. Wtedy też powie jej o dziecku.

Weszła z powrotem do domu i stanęła w hallu, chcąc rozejrzeć się po raz ostatni przed wyjazdem i zapamiętać to miejsce, zanim wszystko zostanie odnowione i przebudowane. Powoli wspięła się schodami na górę. Coś ją ciągnęło do pokoju, w którym poprzedniego popołudnia uprawiali seks.

Podeszła do łóżka i schyliła się po wciąż leżący na ziemi materiał, którym przykryty był mebel. Podniosła go, strzepnęła resztki kurzu i rozwiesiła na słupkach wokół łóżka. Nie mogła jednak przykryć tego, co się zdarzyło. Czy tego chciała, czy nie, zamieszka z Orlando w tym zamku i urodzi mu dziecko. Takie były fakty i musiała się z nimi pogodzić. O reszcie wolała na razie nie myśleć. Mogła jedynie spróbować zapanować nad emocjami i chronić siebie. Gdyby udało jej się w jakiś sposób zapomnieć o uczuciu, jakie w niej wzrastało, może i Orlando niczego by nie zauważył i o niczym się nie dowiedział.

Krętymi schodami wspinała się na wieżę, która przedtem tak zachwycała architektów. Była to najstarsza część zamku z komnatą i balkonem, którego Orlando wcześniej im nie pokazał. Isabel przekręciła klucz i weszła do środka przez zwieńczony łukiem próg. Skierowała się w stronę balkonu. Zewnętrzna ściana w najniższym miejscu sięgała na wysokość jej talii. W najwyższym Isabel musiałaby się wspiąć na palce, by zobaczyć, co jest na zewnątrz. Roztaczał się stąd wspaniały widok na góry w jedną stronę i morze w drugą. Pomiedzy nimi widać było liczne wioski, zielone pola i kolorowe dachy budynków w Trevente.

W pewnym momencie usłyszała na dole gwar. Wychyliła się, widząc, że architekci wsiadają do vana. Towarzyszył im Orlando. Uścisnął dłonie mężczyznom, z obydwoma kobietami pożegnał się serdeczniej. Isabel wyraźnie widziała, że Millie musiała wspiąć się na palce i wychylić do przodu, aby pocałować go w policzek. Jej dłonie władczo spoczęły na silnych ramionach.

Rozzłoszczona, obróciła się i wróciła na dół. Jeśli do tego

wszystkiego będzie musiała walczyć ze swoją zazdrością, oszałeje. Była już w połowie drogi do drzwi, gdy w hallu pojawił się Orlando.

- Jesteś gotowa?

Skinęła tylko i serce jej stanęło, gdy poczuła, jak obejmuje ją w pasie i kieruje w stronę wyjścia. Zamknął drzwi i schował klucz do kieszeni.

- Kiedy tu wrócimy, wszystko będzie wyglądało zupełnie inaczej.

Isabel podniosła głowę.

- Mam nadzieję - powiedziała z zadumą.

Orlando nie słyszał jej. Pod jego zamaszystymi krokami chrzęścił żwir. Jakby się nie mógł doczekać, by wreszcie stąd wyjechać.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Isabel otworzyła pocztę i na widok wiadomości od Orlanda poczuła mocniejsze bicie serca. Podczas tych sześciu tygodni rozłąki, gdy ona została w Londynie, a on poleciał do Nowego Jorku, kontaktował się z nią kilkakrotnie, ale za każdym razem jej reakcja była równie silna i emocjonalna. Nawet wtedy, gdy wiadomość zawierała pytanie dotyczące działalności fabryki albo informacje o postępach remontu na zamku.

Po powrocie do Anglii Isabel poszła do lekarza, który zlecił jej badania i potwierdził prawdopodobną datę porodu. W jej mieszkaniu na toaletce wisiało pierwsze zdjęcie USG z wizerunkiem jej maleńkiego jeszcze synka. Za każdym razem, gdy koło niego przechodziła, nie mogła się nadziwić, że właśnie ona będzie miała dziecko.

Niestety, jej matka nie cieszyła się z ciąży tak bardzo jak ona. Gdy Isabel wreszcie jej powiedziała, Nancy Spicer skrzywiła się tylko z niesmakiem i nawet nie zapytała, jak Isabel się czuje. Pewne zainteresowanie wykazała dopiero na wieść, że ojciec dziecka nosi tytuł Marchese di Trevente i że jest bardzo zamożnym człowiekiem. Wykorzystując tę chwilę, powiedziała matce, że przenosi się do Włoch i ma nadzieję, że Nancy zechce zamieszkać razem z nimi.

W pierwszym odruchu Nancy odparła, że jest to najgłupszy pomysł, jaki kiedykolwiek słyszała i że jeśli Isabel chce, to niech jedzie, a ją zostawi tutaj samą. Jednak z jej smutnych oczu Isabel wyczytała zupełnie inną historię i nabrała przekonania, że matkę uda się w końcu namówić do przeprowadzki. Wymagało to jednak czasu.

W czasie wolnym od wizyt lekarskich i powolnych negocjacji z matką Isabel całkowicie oddała się pracy. Miała jej aż nadto. Wkrótce miały zostać otwarte dwa nowe sklepy, w Londynie i Nowym Jorku. Fabryka w Trevente uporała się z problemami

jakościowymi i współpraca z jej dyrektorem układała się pomyslnie. Marka Spicer Shoes była obecna we wszystkich najlepszych galeriach handlowych na świecie, a nie tylko w Londynie.

Siedząc w swoim biurze, Isabel wsłuchiwała się w przyciszone stukanie młotków i rozmowy, dochodzące z pobliskiego warsztatu. W takich warunkach czuła się najlepiej. Tutaj było serce jej firmy. Tutaj wprawni rzemieślnicy wprowadzali w życie jej projekty, które następnie były kierowane do produkcji seryjnej. Tę część cyklu, w której powstawały prototypy, lubiła najbardziej. Wiedziała też, że kiedy przeprowadzi się do Włoch, będzie musiała ją porzucić.

To będzie dla niej ogromne przeżycie, czuła to. Nie tylko porzuci codzienne wizyty w warsztacie, lecz pożegna się także z Londynem, swoim mieszkaniem i przyjaciółmi – wszystkim, co udało jej się stworzyć i osiągnąć przez lata. Z każdym, kogo tutaj poznała.

Ale mus, to mus. Albo, jak mawiała matka: Jak sobie pościeliłaś, tak się wyśpisz.

Kliknęła teraz wiadomość od Orlanda i poczuła, że serce stanęło jej w gardle.

Castello Trevente czeka na nasz przyjazd.

Kilka razy przeczytała to krótkie zdanie, zanim zrozumiała, że oznacza to koniec remontu. Tak szybko? Mimo że dostawała przecież informacje o postępie prac, nie wierzyła, że z tak poważnym projektem można się będzie uporać zaledwie w kilka tygodni. Orlando naprawdę musiał zaangażować do tego mnóstwo ludzi.

Spotkajmy się na miejscu w piątek.

Orlando

Isabel zamknęła usta, które zdążyły otworzyć się ze zdumienia, i odchrząknęła, czując suchość w gardle. W piątek? W ten piątek?

Zaczęła pisać odpowiedź, wyjaśniając, że nie da rady wyje-

chać już w piątek. Przeprowadzka wymagała przygotowań. Jak miała pozałatwiać wszystkie sprawy do końca tygodnia? Po chwili jednak wykasowała całość napisanego tekstu. Nie miało to sensu. Odsunęłaby o parę dni to, co i tak będzie musiała zrobić. Może lepiej byłoby pokazać, że panuje nad wszystkim. To znacznie lepsze niż szukanie wymówek i usprawiedliwianie się. Zaczęła od nowa.

Piątek mi pasuje. Do zobaczenia wkrótce.

Ignorując strach, który ścisnął jej gardło, nacisnęła „Wyślij”.

Już z daleka zauważyła, że wiele się zmieniło. Otoczenie zamku było uporządkowane. Miejsce wyrosniętych chwastów zajął starannie wypielęgnowany trawnik. W elewacji uzupełniono ubytki. Ściany w hallu nie straszyły już schodzącą płatami farbą, lecz były pomalowane w odcieniu spokojnego błękitu. Marmurowa posadzka błyszczała czystością, a w powietrzu unosił się zapach egzotycznych kwiatów zdobiących mahoniowy stolik na giętych nogach.

Usłyszała za sobą ciche chrząknięcie i odwróciła się. Przed sobą ujrzała uśmiechniętą twarz kobiety w średnim wieku i wyciągniętą na powitanie rękę.

- Signorina Spicer?

- Tak. Sì. To ja.

- Miło mi panią poznać. Nazywam się Maria Marinelli i będę waszą gospodynią.

Uścisnęły sobie dłonie.

- Mów mi Isabel.

- Sì, certo. I jak ci się tutaj podoba, Isabel?

- Jest przepięknie. - Nadal rozglądała się z niedowierzaniem. - Nie mogę się doczekać, by zobaczyć resztę.

- Wszędzie jest *bello, molto bello*. Chcę wam podziękować, tobie i panu Cassano, że przywróciliście zamek do życia. I pomyśleć, że zamieszkacie tutaj jako rodzina. - Maria złożyła ręce i wzniosła oczy do nieba. - To dla nas prawie cud. Dla pracowników, ma się rozumieć.

Isabel poczuła się dziwnie, słysząc te podziękowania. Nie na-

leżały jej się. Ani Orlandowi. Nie byli przecież prawdziwą rodziną. Któregoś dnia Maria i pracownicy posiadłości w końcu się o tym dowiedzą.

- Orlando... Pan Cassano... Nie przyjechał jeszcze?

- Nie. - Maria potrząsnęła głową. - Spóźnia się. Och, gdzież ja mam głowę. Musisz być głodna po podróży. Może usiądziesz w salonie, a ja przyniosę ci coś do jedzenia.

- Nie trzeba, ale herbaty chętnie się napiję.

- Oczywiście, zaraz przyniosę. Mamy angielską herbatę. Pan kazał kupić na zapas.

Popijając gorący napój w salonie, Isabel uważnie studiowała każdy szczegół pokoju, który także przeszedł dużą zmianę. Trudno było wprost uwierzyć, że to ten sam salon, który widzieli zaledwie kilka tygodni temu. Meble były po renowacji. Oszlifowane i wypolerowane drewno aż błyszczało. Tapicerka w sofie i fotelach została wymieniona na nową. Dywany wyprane i naprawione. Na ściany wróciły obrazy, głównie portrety, prawdopodobnie przodków Orlanda.

Dokończywszy herbatę, Isabel wstała. Przejdzie się po zamku, zanim Orlando przyjedzie i sprawdzi, jak wygląda reszta. Wkrótce przekonała się, że Maria miała rację. Wszędzie było *molto bello*, a przywiązanie do szczegółu i pieczołowitość, jaką musieli włożyć w pracę wszyscy: od architektów po wykonawców, była naprawdę imponująca.

Otworzyła drzwi do pokoju, który miał być przeznaczony dla dziecka, i zatrzymała się w progu. Bładożółte ściany i białe meble wyglądały świeżo i pogodnie, ale jej uwagę przykuła masywna kołyska z ciemnego drewna z jasnymi firaneczkami u wezłowania. Podeszła bliżej i dotknęła jej, wprawiając w ruch. Wyobraźnia podsunęła jej obraz niemowlęcia słodko śpiącego w środku. Nie wiedziała, czy wizja ta ją bardziej ucieszyła, czy wystraszyła. Zrozumiała jednak, że musi zacząć przyzwyczajając się do myśli, że naprawdę urodzi dziecko, które będą wychowywać razem z Orlandem.

Właśnie, gdzie też on się podziewał? Im dłużej na niego czekała, tym większy ogarniał ją niepokój. Przygotowywała się do tego spotkania prawie cały tydzień. Wiedziała, że wskrzesi

w niej uczucia, o których próbowała zapomnieć. Nie widzieli się prawie półtora miesiąca, a on był obecny w jej myślach, szczególnie nocami, gdy nie mogła zasnąć.

Ale przecież była też rozsądną kobietą. Wiedziała, na co się zgodziła. Wiedziała, że musi się wyrzec fantazji o wielkiej miłości. Wątpiła, by był zdolny obdarzyć ją uczuciem czy nawet zakochać się w niej.

Godziny mijały, a Orlando nie pojawił się na zamku. Maria podała jej lekką kolację w jadalni, w której echem niósł się każdy ruch. Z nerwów nie była w sanie nic przełknąć. O jedenastej była już solidnie zdenerwowana i wściekła. To był jego pomysł, żeby tu przyjechać. I proszę, już pierwszego wieczora, nie raczył się nawet pokazać.

Wreszcie wyczerpana dociekaniem, co też mogło się stać, uznała, że Orlando ją wystawił. Najwyraźniej zmienił zdanie. Zrozumiał, że związenie się z nią i dzieckiem było dla niego zbyt wielkim poświęceniem.

Wstała z sofy i na zeszywniałych nogach poszła do głównej sypialni. Jutro wróci do Anglii, zapomni o tym wszystkim i skoncentruje się na budowaniu życia bez Orlando, tak jak planowała na początku, zanim wszedł z butami w jej życie i dokumentnie je zdemolował, stawiając absurdalne żądania.

Zdążyła dość do drzwi jadalni, gdy po drugiej stronie usłyszała nagły tumult. Otworzyła drzwi. Naprzeciw niej stała Maria z pobladłą twarzą i drżącymi dłońmi, które zakrywały usta. Za nią stał ubrany w piżamę mężczyzna usiłujący ją pocieszać.

- Maria?

- Och, Isabel! - Łzy pociekły jej po policzkach.

- Co się stało? - Isabel przeraziła się nie na żarty.

- Marchese... - wyjąkała tylko i zaniósła się płaczem. Isabel objęła ją ramionami i głaskała po plecach, ale strach zdążył już zamrozić jej serce. Coś musiało się stać. Coś bardzo złego.

- Orlando?

- **Si**. Orlando. Był straszny wypadek.

Prawie biegnąc korytarzem szpitala w towarzystwie młodego lekarza, który ledwie dotrzymywał jej kroku, Isabel próbowała

przetworzyć informacje, które od niego uzyskała. Ale paniczny strach blokował wszelkie przejawy logicznego myślenia. Chciała tylko zobaczyć Orlanda. Jakby to właśnie miało sprawić, że jego stan się poprawi.

Miał wypadek samochodowy i przewieziono go do szpitala. Tyle udało się jej wydobyć od wstrząśniętej Marii, zanim poczuła, że grunt usuwa jej się spod nóg i upadła w progu jadalni. Ocknęła się parę minut później, czując, jak gospodyni wraz z nieznanym jej mężczyzną próbują ją posadzić i oprzeć o ścianę.

Walcząc z mdłościami, podniosła się. Musiała działać, jeśli chciała zobaczyć Orlanda. Podpierając się o ścianę i meble, oznajmiła Marii, że musi natychmiast dostać się do szpitala i potrzebuje taksówki, kierowcy albo samochodu, którym w ostateczności sama mogłaby pojechać. Mężczyzna, który okazał się mężem Marii, pobiegł się przebrać i po chwili pojawił się z powrotem, informując, że ją zawiezie.

Tymczasem Maria usiłowała wmusić w Isabel trochę wody i przyniosła jej koc, by mogła się nim okryć w drodze.

Stojąc teraz u drzwi, za którymi leżał Orlando, Isabel poczuła kolejną falę mdłości i musiała zrobić parę głębokich wdechów, by wrócić do siebie.

- Signor Cassano doznał poważnego urazu głowy - powiedział lekarz zdyszczanym głosem. - Może nie rozumieć, co się z nim dzieje. To z powodu leków, a nie wskutek uszkodzenia mózgu.

- Uszkodzenia mózgu? - zapytała przerażona.

- Prześwietlenie nie wykazało żadnych większych nieprawidłowości, ale nie wiemy, na jak długo signor Cassano stracił przytomność. W przypadku urazów głowy, skutki nie muszą być widoczne od razu. Pozostanie pod obserwacją, zanim wykluczymy wszelkie nieprawidłowości.

- Rozumiem. - Isabel skinęła głową. - Czy mogłabym go już zobaczyć?

Lekarz nacisnął klamkę i wszedł razem z nią do niedużej sali, w której panował półmrok.

Orlando leżał na wznak z odkrytym torsem i zamkniętymi oczami. Gdyby nie podłączona aparatura, można by uznać, że

śpi. Dopiero gdy podeszła bliżej, zobaczyła siniaki i zadrapania na jego twarzy.

Wychyliła się do przodu i pocałowała go w czoło, chłodne i lekko wilgotne. Oczy gwałtownie poruszyły się pod powiekami, gdy pasmo włosów, którego nie zdążyła odgarnąć za ucho, opadło na jego policzek.

Usiadła na stołku obok i ostrożnie ujęła go za rękę. Odpowiedział jej mocny uścisk i myślała, że Orlando się przebudzi, ale tak się nie stało.

- Śpi, to dobrze - powiedział lekarz półgłosem. - Może zechce pani wrócić rano? Oczywiście, skontaktujemy się, gdyby coś się zmieniło.

- Dziękuję, ale wolałabym jeszcze zostać.

- Oczywiście. Zostawię was samych. Gdyby potrzebowała pani pomocy, proszę nacisnąć ten dzwonek.

- Dziękuję, panie doktorze.

Odprowadziła go spojrzeniem i odwróciła się dokładnie wtedy, gdy Orlando otworzył powieki.

- Isabel. *Meno male!* Bóg cię tu zesłał. Podaj mi ubranie.

- Co takiego? - Isabel puściła jego dłoń i cofnęła się. Musiał być w szoku.

- Powiedziałem, żebyś podała mi rzeczy. Wychodzimy.

- O czym ty mówisz, Orlando. Lekarz powiedział mi właśnie, że...

- Nie obchodzi mnie, co ci powiedział. To tylko parę siniaków. Zbierajmy się stąd, szybko!

Przerażona patrzyła, jak opuścił nogi na bok i odłączył krowkę. Potem sięgnął po spodnie, złożone w kostkę na szafce obok łóżka.

- Jak się tu dostałaś? Taksówką?

- Nie, Pietro mnie przywiózł.

- Został pod szpitalem? - W pośpiechu naciągał na siebie dzinsy.

- Chyba tak, poprosiłam, żeby zaczekał.

- *Eccelente!* Musimy tylko wymknąć się stąd niezauważeni.

- Nie ma mowy - sprzeciwiła się, po czym zrobiła dwa kroki w stronę dzwonka znajdującego się nad łóżkiem. - Jeśli natych-

miast się nie połóżysz, wezwę pomoc.

- Naciśnij dzwonek, a nie rękę za siebie!

Zawahała się, po czym cofnęła wyciągniętą rękę. Stali naprzeciwko siebie. On z nagim torsem i koszulą nałożoną na jedno ramię. Ona z oczami rozszerzonymi strachem. Nie mógł, ot tak, wyjść sobie ze szpitala. Lekarz wyraźnie powiedział, że musi być pod obserwacją.

- Daj spokój, Isabel - przemówił łagodniejszym tonem. - To tylko kilka zadrapań. Sama zobacz! - Rozłożył szeroko ramiona.
- Nic mi nie jest.

Zamrugła, nie wierząc, że to się dzieje naprawdę.

- A ta gigantyczna opuchlizna na skroni to też nic?

- Nabiłem sobie guza, wielkie rzeczy! - Dotknął palcami opuchniętego miejsca i syknął z bólu.

- Zostaniesz w szpitalu. Musisz być pod obserwacją.

- Aha - mruknął tylko i naciągnął nie do końca odpiętą koszulę przez głowę. Jego twarz wykrzywił grymas. Potem kolejny, gdy z trudem wkładał skarpetki. Musiało go boleć bardziej, niż chciał przyznać. - Ty też możesz mnie obserwować, a teraz chodźmy stąd!

- Orlando, proszę cię.

Ale on złapał ją za rękę i pociągnął w stronę drzwi. Uchylił je ostrożnie i wyjrzał na korytarz, po czym odwrócił się do niej i spojrzał na nią tak, że zamknęła usta.

- Albo ty się mną zajmiesz, albo nikt. Wybieraj!

Orlando przekręcił się z trudem na bok i podciągnął się wyżej na poduszkach. Z wyraźną ulgą rozprostował kolana.

- Może dać ci jeszcze jedną poduszkę pod plecy?

- Nie, jest dobrze.

Dobrze nie było i Orlando doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Uznał jednak, że to minie i starał się nie dać po sobie poznać, jak fatalnie się czuje. Nie tak sobie wyobrażał swoją pierwszą noc w nowej sypialni. Poza obolałymi mięśniami i tętniącym bólem głowy najbardziej dokuczała mu własna bezsilność. Był zły na siebie, że jechał za szybko, wściekły, że nie zauważył w porę jelenia, który wyszedł zza drzewa prosto pod

koła samochodu, przez co musiał gwałtownie zjechać na bok i wylądował w rowie.

Siła uderzenia była na tyle duża, że mimo zapiętych pasów rozbił głowę o przednią szybę. Zanim odzyskał świadomość, ktoś wezwał pogotowie. Inaczej pewnie pozbierałby się i pokuszył do zamku, od którego dzieliły go może ze dwa kilometry.

W każdym razie cieszył się, że jest u siebie. Nie wyobrażał sobie, że spędzi noc w szpitalu, podłączony do wydających irytujące odgłosy urządzeń. Dobry pacjent to taki, który robi, co mu się każe, a on nie lubił słuchać poleceń ani tym bardziej być zdany na łaskę lub niełaskę obcych ludzi.

Z drugiej strony, pod czujnym okiem Isabel, która nie opuszczała go nawet na krok, też nie będzie miał lekko. Westchnął i powoli przekręcił głowę.

W sypialni panował półmrok. Isabel, przycupnięta na krześle, wyglądała jak nastolatka. Zatraskane, szeroko otwarte oczy obserwowały go, doszukując się zapewne symptomów uszkodzenia mózgu, o którym wspominał lekarz.

Zmarszczył brwi. Nie chciał, żeby tu siedziała i patrzyła na niego, gdy był w takim stanie. Pełne współczucia i troski spojrzenie sprawiało, że czuł się jeszcze gorzej. Było coś jeszcze, poza trawiącym jego ciało pożądaniem, jakie niezmiennie odczuwał w jej obecności. Coś znacznie głębszego, co sprawiało, że jego serce zmieniało się w miękki wosk. Nie rozumiał tego stanu i walczył z nim, ale coraz mniej skutecznie.

Silna i niezależna Isabel, która uparcie dawała odpór jego żądaniom i determinacji. Piękna Isabel, która spoglądała na niego z taką czułością, że najchętniej... zrzuciłby z siebie kołdrę, wstał i poszedł, dokąd go oczy poniosą, byle być jak najdalej. A może przeciwnie, może wziąłby ją w ramiona i kochał się z nią całą noc...

- Chcę zostać sam, Isabel. - Jego głos celowo zabrzmiał nieprzyjemnie. - Ty też powinnaś się położyć. Nie wolno ci się przemęczać.

- Nigdzie stąd nie pójde, Orlando. Ktoś musi cię pilnować.

- Ale co miałyby mi się stać? - zirytował się.

- Utrata przytomności, słuchu, osłabienie mięśni ramion lub

nóg, wymioty... Mam wyliczać dalej? Jeszcze senność, chociaż o tej porze to akurat nic dziwnego – dodała.

- Byłabyś świetną pielęgniarką – powiedział z przekąsem i wyprostował głowę, przyglądając się dla odmiany sufitowi.

Isabel zawahała się.

- Może i tak – odparła z zastanowieniem. – Przeszłam kiedyś wstrząśnienie mózgu, więc wiem coś na ten temat.

- Naprawdę? – Zerknął na nią z ukosa. – Kiedy to było?

- Miałam wypadek samochodowy, akurat skończyłam siedemnaście lat. – Splotła dłonie przed sobą, żeby nie zauważył, jak drżą.

- Jak do niego doszło?

- Nieważne, stare dzieje.

- Co się wtedy stało, Isabel? – nalegał.

Wiedziała, że nie wykpi się byle czym.

- Mój ojciec zginął w tym wypadku. To się stało.

- *Dio!* Tak mi przykro. – Orlando podparł się na łokciach i podciągnął wyżej. W takiej pozycji zdecydowanie łatwiej było rozmawiać. – Opowiesz mi o tym?

- Wolałabym nie.

- Słuchaj, to będzie długa noc, a ja i tak nie mogę spać. Może ją wykorzystamy, żeby lepiej się poznać.

- A jeśli nie spodoba nam się to, czego się o sobie dowiemy?

- Jest i taka możliwość – zgodził się. – Ale to nie powód, żeby unikać rozmów.

Śmiałe słowa jak na kogoś, kto nie miał zamiaru wywnętrzać się przed innymi. Kusiło go, żeby coś z niej wyciągnąć. Może dlatego, że robiła ze swojego życia jeszcze większą tajemnicę niż on. Co się kryło za wizerunkiem kobiety sukcesu? Powinien wiedzieć wszystko o matce swojego dziecka, tymczasem nie wiedział prawie nic.

- Zaraz możesz zmienić zdanie – powiedziała, czytając w jego myślach. – Bo to ja spowodowałam wypadek i z mojej winy ojciec zginął, a matka została inwalidką – skrzywiła się. Wyznanie wyraźnie sprawiło jej ból.

- Z twojej winy? – zapytał tylko.

- Tak. Kraksa, śmierć ojca, choroba matki. To wszystko moja

wina. – Obdarzyła go udręczonym spojrzeniem.

– Mów dalej.

– Jechaliśmy autostradą – zaczęła niepewnie. – Rodzice się posprzeczali. Często się kłócili, więc nie było to nic niezwykłego. Nie pamiętam, o co tym razem poszło. Ojciec tak się zdenerwował, że zaczął jechać szybciej. Matka bez przerwy krzyczała. Potem zaczęła uderzać ojca pięściami, raz po raz. Próbowałam ich uspokoić, ale nawet nie zwrócili na mnie uwagi. Samochód zaczął zjeżdżać na lewy pas, którym jechał autokar pełen ludzi. Uznałam, że muszę coś z tym zrobić i...

– Co zrobiłaś?

– Rozpięłam pas i pochyliłam się do przodu, żeby chwycić kierownicę. Chciałam, żebyśmy wrócili na prawy pas, ale samochód był za bardzo rozpędzony, a kąt skrętu za duży i uderzyliśmy w barierki na środku. Ojciec zginął na miejscu. – Spuściła głowę i umilkła.

Orlando poczuł bezsilność. Rozumiał, jak strasznie musi się czuć, przeżywając tę tragedię na nowo i chciał zrobić coś, co zmniejszyłoby jej cierpienie. Musiał jednak poznać wszystkie fakty.

– A ty? – Odchrząknął. – Poza wstrząśnieniem mózgu, odniosłaś jakieś obrażenia?

– Miałam siniaki, kilka zadrapań i rozciętą skórę na ramieniu. Niewiele w porównaniu do matki, która przeszła kilka operacji nóg. Od tamtej pory jeździ na wózku inwalidzkim. Mogłaby chodzić, powoli i o lasce, ale nie chce.

– A ten autokar? Poza wami ktoś jeszcze brał udział w wypadku?

– Nie.

– Więc gdybyś nie złapała wtedy za kierownicę, mogliście się zderzyć z autobusem, tak? A wtedy skutki byłyby o wiele gorsze?

– Trudno powiedzieć...

– Słuchaj, Isabel, nie zamierzam lekceważyć śmierci ojca ani tym bardziej traumy, którą przeżyłaś, ale z tą winą... musisz odpuścić.

Usiadł wyprostowany, zapominając niemalże o fizycznym cier-

pieniu swojego poturbowanego ciała. Ona musiała cierpieć jeszcze bardziej. Wziął ją za rękę, która wydała mu się drobna, niemal dziecięca. – Słyszysz?

Isabel podniosła na niego smutne, zielone oczy.

– Jak mam sobie wybaczyć, kiedy nawet własna matka nie chce mi wybaczyć.

– Jak to?

– Wini mnie za wypadek, za uśmiercenie ojca i zrujnowanie jej życia.

– To jakiś absurd. Gdyby się nie awanturowali w samochodzie, nic by się nie stało.

Wzruszyła ramionami.

– To była moja wina, bo ja chwyciłam za kierownicę. Nie masz pojęcia, jak się z tym czuję.

Miał pojęcie, i to większe, niż jej się zdawało. Od wielu lat nosił w sobie poczucie winy za śmierć Sophii. Zdał sobie sprawę z tego, że jest ostatnią osobą, która powinna udzielać jej rad. Puścił jej dłoń i opadł na poduszki, ignorując spojrzenie, które, jak mu się zdawało, wyrażało nadzieję na to, że właśnie on będzie umiał ją pocieszyć. Isabel nie wiedziała, że bliższy kontakt z nim mógł tylko dołożyć jej zgryzoty.

– Życie jest brutalne, Isabel. Wypadki się zdarzają. Nie wszystko idzie tak, jak sobie zaplanowaliśmy. Trzeba sobie z tym jakoś radzić.

Zapadła ponura cisza. Gdy odważył się spojrzeć na Isabel, po jej policzkach płynęły łzy, broda drżała od ledwie powstrzymanego szlochu. Nie mógł na to patrzeć.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Isabel wytarła oczy i wydmuchała nos w chusteczkę. Zachowywała się przy nim jak dziecko, a przecież miała nad nim czuwać, być tą silniejszą, przejąć kontrolę. Ale im bardziej starała się powstrzymać płacz, tym było gorzej, aż w końcu zwróciło to jego uwagę.

Po co w ogóle opowiedziała mu o wypadku? Ilekroć o nim myślała, czuła się potem fatalnie. I proszę, ma, czego chciała. A jednak, siedząc z nim tutaj, w pograżonym w mroku pokoju, poczuła, że musi z siebie wyrzucić poczucie winy, o którym nigdy nikomu nie mówiła. Nawet matce. Zwłaszcza matce.

Był pierwszą osobą, której odważyła się zaufać. Co więcej, wierzyła mu bardziej niż jakiegokolwiek innej osobie na tej planecie. Był silny, inteligentny, nieodgadniony i potrafił doprowadzić ją do szaleń. Ale coś powiedziało jej, że potraktuje ją poważnie, jeśli mu się zwierzy. I nie myliła się. Nie oceniał jej, nie pocieszał ani nie wciskał banałów. Zebrał fakty i postarał się uczciwie ocenić sytuację. Już czuła, jak brzemię winy unosi się z jej ramion, ale po chwili przyszło rozczarowanie. Wypadki się zdarzają. Trzeba sobie z tym jakoś radzić.

Słowa te zabrzmiały jak wyrok i bez wątpienia odnosiły się do niej i do dziecka. Była w jego życiu niczym więcej, jak tylko wypadkiem, z którym musiał sobie poradzić. Posłużył się zamkiem, aby skłonić ją do zamieszkania z nim. To na pewno ułatwiało mu wiele spraw. Nigdy nie mieli być rodziną, mieli tylko ze sobą zamieszkać. To piękne miejsce stanie się dla nich obojga więzieniem. Uświadomiwszy sobie ten brutalny fakt, Isabel poczuła nadciągającą falę płaczu, której nie umiała zahamować.

- Isabel?

Odwróciła głowę i pociągnęła nosem.

- Co się dzieje?

- Nic.

- Jak to nic? Cała się trzęsiesz.

To prawda. Miała dreszcze. Była spięta z powodu jego wypadku, a dość nieoczekiwane wyznanie dołożyło kolejną dawkę emocji. Okrutne podsumowanie było ostatnią kroplą, która przelała czarę goryczy.

- Isabel, mów do mnie. - Odrzucił na bok kołdrę, spuścił nogi na ziemię i patrzył na jej skulone z zimna ciało. - Może chcesz, żebym wezwał lekarza?

- Nie. Nie jestem chora, tylko zmęczona... To był bardzo długi dzień - powiedziała, obejmując ramiona dłońmi.

- Przepraszam, to ten głupi wypadek.

- Nie, nie. To nie twoja wina.

Orlando podniósł się i ściągnął narzutę z łóżka. Zarzucił ją wokół jej ramion.

- Zaraz zrobi ci się cieplej - powiedział i pochylił się nad nią.

Przymknęła oczy, czując na sobie ciepły oddech.

- Musisz się położyć i przespać.

- Nie zostawię cię tu samego - odparła, z trudem otwierając ciężkie powieki. - Lekarz powiedział...

- Mam w nosie, co powiedział lekarz. Jesteś wyczerpana. Nie chcę, żebyś się rozchorowała albo zaszkodziła dziecku.

- A ja nie chcę, żeby twój wypadek skończył się poważnym urazem mózgu.

Isabel owinęła się szczelniej narzutą i patrzyła na niego z uporem.

- Skoro tak, będziesz musiała położyć się obok.

Powoli przeszedł na drugą stronę łóżka i rozłożył poduszki oraz wygładził prześcieradło.

- Nie mogę, jesteś po wypadku.

- Będziemy tylko leżeć koło siebie, Isabel. Nic więcej.

- Oczywiście - odpowiedziała speszona. - Miałam na myśli, że będzie ci niewygodnie. Może lepiej będzie, jak posiedzę w fotelu.

- Wykluczone! Masz się położyć. Chyba nie chcesz, żebym cię do tego zmusił? - Wyciągnął rękę i wskazał jej przygotowane miejsce.

Nie miała siły dłużej się sprzeciwiać. Zsunęła ze stóp sandały

i podeszła bliżej.

- Może chociaż trochę się rozbierzesz?

Spojrzała na siebie, wciąż miała na sobie luźne dzinsy i podkoszulek, w które ubrała się rano, jeszcze w Londynie. To był naprawdę najdłuższy dzień w jej życiu.

Przystanęła i rozpięła spodnie. Nie miała nawet siły ich złożyć i zostały obok na dywanie. Żałowała, że nie założyła wygodnych, bawełnianych majtek zamiast koronkowych, ale z drugiej strony, jakie to miało znaczenie. Orlando dał jej wyraźnie do zrozumienia, że nie była niczym więcej jak stroną umowy zawartej na rzecz ich dziecka.

W podkoszulku sięgającym do uda weszła do łóżka, usiłując zająć jak najmniej miejsca, i podciągnęła kołdrę pod szyję.

- Tak lepiej - pochwalił ją i przeszedł na swoją stronę. - Przynajmniej odpoczniesz, nawet jeśli nie chcesz spać. A jeśli coś mi się stanie, pierwsza się o tym dowiesz - dorzucił z przekąsem.

- To nie jest śmieszne, Orlando! - Rzuciła mu rozżłoszczone spojrzenie. - Miałeś poważny wypadek. Mogłeś zginąć.

- Wiem, przepraszam. Nie powinienem tego mówić.

Ułożył się po swojej stronie. Isabel zerknęła kątem oka, oceniając, jaka odległość ich dzieli i przymknęła oczy. Miał rację. Tak było jej o wiele wygodniej.

- Wyłączysz światło?

Podniosła się na łokciu i sięgnęła ręką, unikając dotykania jego torsu.

Potem zwinęła się w kłębek po swojej stronie i wsłuchiwała się w jego równomierny oddech. Nie chciało jej się spać. Zresztą nie pozwoliłaby sobie na to. Będzie po prostu leżała. Po paru minutach ich oddechy się wyrównały, Isabel poczuła, że napięte mięśnie karku powoli się rozluźniają, a odgłosy, które do tej pory rejestrowała, stają się coraz cichsze i cichsze.

Orlando wpatrywał się w śpiącą tuż obok Isabel. We śnie była jeszcze piękniejsza. Za oknem robiło się jaśniej. Chciał zmienić pozycję, przekręcić się, ale bał się, że ją obudzi. Leżała przytulona do niego, z ramieniem na jego piersi. Wyglądała tak niewinnie. Wzruszenie wypełniło mu serce. Żałował, że nie był

mężczyzną, jakiego Isabel mogłaby pragnąć. Zbyt poraniony, wciągnąłby ją ze sobą do krainy mroku, w której od tak dawna żył. Nie zasługiwała na taki los.

Wystarczająco już namieszał w jej życiu. Najpierw ciąża, teraz przeprowadzka. Trzeba było prawdziwej odwagi, żeby podjąć takie wyzwanie. Podobało mu się to. Podobało mu się w niej wiele rzeczy.

Dlatego tym trudniejszy będzie kolejny krok, który zaplanował. Chciał ją przekonać do tego, by wzięli ślub, nie czekając, aż dziecko przyjdzie na świat. Może rozegrałby to inaczej, ale wypadek naprawdę nim wstrząsnął. Nie w sensie fizycznym. Poza obolałym ciałem nic mu nie dolegało. Zrozumiał jednak, że nie jest nietykalny. Nawet on mógł umrzeć, i to w każdej chwili. Co się wtedy stanie z Isabel i z jego dzieckiem?

Dlatego musieli dopełnić formalności jak najszybciej. Musiał być pewny, że jego dziecko odziedziczy wszelkie prawa do majątku i tytułu.

Isabel poruszyła się we śnie i zerknął na nią ponownie. Jej usta lekko się rozchyliły, jakby chciała coś powiedzieć, po chwili wtuliła twarz w jego ramię i spała dalej.

Był jeszcze inny powód. Bał się, że Isabel z czasem zmieni zdanie. Co prawda wyraziła zgodę na ślub w bliżej nieokreślonej przyszłości, ale przecież zawsze mogła powiedzieć, że robiła to dla świętego spokoju. Mogła też po prostu poznać kogoś innego. To martwiło go najbardziej.

Takie rzeczy się przecież zdarzają. Isabel była atrakcyjną kobietą, aktywną zawodowo, spotykała się z wieloma ludźmi. Już wcześniej Orlando widział, jak inni mężczyźni na nią patrzyli. A teraz dodatkowo mieszkali we Włoszech, gdzie każdy facet był przekonany o tym, że jest najlepszym kochankiem na świecie.

Spróbował się przekręcić na bok i poczuł, jak jej ciepła dłoń zaciska się na jego ramieniu. Krew zaczęła żywiej krążyć w jego żyłach. Z łatwością mógł pocałować te śliczne różowe usta. Sprawdzić, czy go odepchnie, czy zaprosi, by się z nią kochał.

Jesteś taka piękna, Isabel. Czy już ci to mówiłem?

Pochylił się nad nią i wyszeptał słowa, które przed chwilą

przyszły mu na myśl. Tak bardzo pragnął się z nią kochać. Ale seks nie rozwiązywał niczego.

Ostrożnie zdjął jej rękę z siebie i wysunął się spod kołdry. Czekał go długi, zimny prysznic.

Jesteś taka piękna, Isabel.

Otworzyła oczy i uśmiechnęła się. Przyjemny sen, pomyślała, po czym gwałtownie usiadła na łóżku. Jak to się stało, że zasnęła? Miała przecież czuwać! Jeszcze bardziej przeraziła się, gdy zobaczyła, że łóżko jest puste. Może wyszedł i zasnął gdzieś, a ona tu sobie śpi. Zerknęła na zegarek i naciągnęła szlafrok na pognieciony podkoszulek, w którym położyła się wczoraj.

W pośpiechu wyszła na korytarz i przystanęła, nasłuchując. Zbiegła po schodach, pisząc w myślach coraz tragiczniejsze scenariusze, w których Orlando leżał nieprzytomny na podłodze, a ratownicy, których wezwie, gdy go znajdzie, próbują bezskutecznie przywrócić mu funkcje życiowe.

Przerażenie pogłębiło się, gdy przez okno dojrzała manewrujący na podjeździe samochód pomocy drogowej, który przywiózł rozbite poprzedniego wieczora auto. Przystanęła przed oknem i zasłoniwszy dłonią usta, próbowała się uspokoić. Potem jej spanikowane spojrzenie powędrowało dalej. Światło słoneczne migotało, odbijane od falującej tafli basenu. Więc tu był? Chwilę trwało przyzwyczajanie się do myśli, że jest cały, żywy i w lepszym stanie niż wczoraj.

Wróciła do sypialni i usiadła na brzegu łóżka. Skołatanе serce nadal nie chciało się uspokoić. Wypakowała z torby czyste rzeczy i poszła do łazienki. Weźmie prysznic, ubierze się, a potem zejdzie do niego i powie mu, co o tym wszystkim myśli.

Orlando wyszedł z wody i zawinął się w duży ręcznik. Czuł się o wiele lepiej. Strużki chłodnej wody ściekały mu po skroniach, gdy wycierał kark i ramiona.

- Co ty wyprawiasz? Miałeś leżeć w łóżku.

Odwrócił się. Przed nim stała wyraźnie podenerwowana Isabel.

- Postanowiłem wypróbować basen. Świetna woda.

Patrzyła, jak owija biodra ręcznikiem. Drobne krople wody

lśniły na jego opalonym ciele. W świetle dziennym było widać, że mocno się potłukł w wypadku.

- Trzeba mi było powiedzieć. Mogło ci się coś stać.

- Spałaś, nie chciałem cię budzić. Pomyślałem, że rozruszam trochę mięśnie. Trochę mi lepiej.

- Cieszę się - powiedziała. - Rzeczywiście opuchlizna chyba trochę zesza. - Podeszła bliżej i ostrożnie dotknęła palcami jego głowy, gdzie poprzedniego wieczora widoczny był pokaźny guz. - Ale i tak powinieneś dzisiaj zobaczyć się z lekarzem.

- Już jestem umówiony. Ma przyjechać za godzinę.

- To dobrze - powiedziała i popatrzyła na jego stopy. Mokre ślady znikwały w promieniach gorącego słońca. - Nareszcie zachowujesz się w sposób odpowiedzialny.

- Przecież wiesz, że to też potrafię.

Podszedł do leżaka, gdzie zostawił ubranie, po czym zrzucił z siebie ręcznik i bezceremonialnie założył bokserki i dzinsy. Dopinając rozporek, popatrzył na nią.

- Jeśli chcesz wiedzieć, moje poczucie odpowiedzialności doprowadziło mnie do bardzo ważnego wniosku.

- Jakiego wniosku? - spytała, nie mogąc oderwać oczu od nagiego torsu. Budową Orlando przypominał pływaków wyczynowych. Bardzo jej się to podobało.

Odwróciła się i zaczęła iść w stronę domu.

- Mój wczorajszy wypadek - zaczął, doganiając ją. - Zrozumiałem, że miałaś rację. Nie powinienem go lekceważyć. Sama wiesz, jak łatwo można stracić życie.

Isabel pokiwała głową, ale nic nie odpowiedziała.

- Dlatego uważam, że powinniśmy się pobrać.

- Już to uzgodniliśmy przecież - odparła, czując, jak świeżo skoszona trawa sprężynuje pod jej stopami. Tak dawno nie chodziła na bosaka po trawie.

- Nie wtedy, jak urodzi się dziecko, Isabel. Teraz - dodał i zmusił ją do zatrzymania się.

- Ale dlaczego teraz?

- Chcę, żeby dziecko miało zapewnioną przyszłość. Po tym, co stało się wczoraj, nie chcę więcej ryzykować. Gdyby coś mi się stało... Zostałabyś z niczym, a dziecko nie mogłoby nawet nosić

mojego nazwiska. Dlatego musimy się pobrać teraz, nie ma innego wyjścia.

Wciągnęła powietrze, czując, jak tlen wypełnia jej płuca i dociera do mózgu. Znowu miała wrażenie, że nią manipuluje. Jakby brała udział w jakiejś grze, której zasady poznaje stopniowo, w miarę przesuwania się po planszy.

Jeśli kiedykolwiek sądziła, że może mieć kontrolę nad swoim życiem, to najwyraźniej była w błędzie. On decydował o wszystkim bez wyjątku. Odwlekając termin ślubu, miała nadzieję, że Orlando jednak zmieni zdanie. Nie co do samego ślubu, ale jego motywów. Była w nim zakochana i wbrew wszelkim oznakom miała nadzieję, że z czasem, być może, odwzajemni jej uczucie. Była żałosna w swoim oczekiwaniu i wiedziała o tym.

Dzisiejsza rozmowa ostatecznie przekonała ją, że chodzi wyłącznie o przejęcie całkowitej kontroli nad jej życiem. Wchodząc do łóżka Orlando Cassano, powinna wiedzieć, że stanie się jego własnością. Czy jako kochanka, czy matka jego dziecka.

Przynajmniej wiedziała, że dziecko dużo dla niego znaczy. W tym świetle nie miało znaczenia, czy ślub odbędzie się teraz, czy później.

Spojrzała na niego, pogodzona ze swoim losem.

- Jeśli tego właśnie chcesz, masz moją zgodę. Ślub może się odbyć nawet jutro.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Z okien swojej sypialni mogła obserwować przygotowania. W ogrodzie stały rozstawione stoły przykryte śnieżnobiałymi obrusami. Obsługa uwijała się wokół, rozstawiając naczynia, sztucce i kwiaty. Przed udekorowanym girlandami podestem, gdzie wkrótce mieli złożyć przysięgę, stały rzędy krzeseł. Isabel patrzyła na to wszystko z niedowierzaniem

Za kilka godzin będzie mężatką. Prawowitą żoną jednego z najbogatszych ludzi w Ameryce. Cofnęła się w głąb pokoju. Do oczu znowu napłynęły jej łzy. Dwa tygodnie temu przeniosła się z głównej sypialni do osobnej suity. Orlando potrzebował spokoju w okresie rekonwalescencji.

Sam jej to zaproponował. Zapamiętała wyraz jego twarzy. Jakby tłumaczył dziecku, które się wysyła do szkoły z internatem. To dla twojego dobra. Nie chcę ci przeszkadzać.

Podczas gdy tak naprawdę to ona przeszkadzała jemu. W każdym razie ucieszyła się. Noce spędzane we wspólnej sypialni były dla niej torturą. Obojętne, czy mieliby tylko obok siebie spać, czy też się kochać. Każda z tych możliwości łamała jej serce.

Samo życie z nim tutaj było wystarczająco stresujące. Wymuszona uprzejmość, posiłki zjadane w pośpiechu, byle tylko móc oddalić się od stołu i zasłonić pracą. Żyli nie razem, ale obok siebie. Z daleka wszystko wyglądało poprawnie, ale z bliska...

Od pamiętnego wieczoru, kiedy wydarzył się wypadek, Isabel miała wrażenie, że Orlando stara się od niej odgradzić.

Odwróciła się i podeszła do łóżka, na którym leżała rozpostarta suknia ślubna. Wzięła do ręki wieszak. Była przepiękna. Kupiła ją sama podczas wycieczki do Mediolanu z Marią i jej nastoletnią córką Eleną. Wybrała model bez ramiączek w kolorze kremowej bieli. Gorset był ozdobiony drobnymi perłami, a szeroka spódnica w typie sukni balowej sięgała do samej ziemi.

Maria i Elena aż zaklaskały z zachwytu, gdy wyszła z garderoby i stanęła przed lustrem.

Rozległo się pukanie do drzwi. Isabel odłożyła suknię i zawołała:

- Proszę!

W progu stanęła rozpromieniona Elena z bukietem białych róż.

- Goście niedługo zaczną się zjeżdżać. Mama powiedziała, że-
bym ci pomogła się ubrać.

- *Grazie*, Elena.

- Zostało mi trochę kwiatów z dekoracji, może wepniemy je
we włosy?

Isabel patrzyła na Elenę, która już była ubrana w odświętną suknię i wyglądała cudownie świeżo, jak przystało na nastolatkę. Jej twarz promieniała szczęściem i ekscytacją. Miała siedemnaście lat. Najpiękniejszy wiek, pomyślała Isabel, wspominając swoje życie sprzed wypadku, w którym zginął jej ojciec.

Miała nadzieję, że Eleny nie spotka w życiu nic złego i znajdzie swojego księcia, z którym weźmie prawdziwy ślub, nie udawany i wymuszony jak ona.

W milczeniu podała suknię Elenie i zdjęła szlafrok. Na sobie miała bieliznę ślubną, do której kupna zmusiły ją Maria i Elena. Stanik bez ramiączek i skąpe jedwabne figi. Do tego pas i kremowe jedwabne pończochy. Wyglądała naprawdę pięknie, a mimo to czuła się jak oszustka. To nie był prawdziwy ślub, a ona nie była prawdziwą panną młodą.

Elena pomogła jej założyć suknię, a potem stanęła z tyłu i cierpliwie zapinała długi rząd perłowych guzików wieńczący dzieło mediolańskiego krawca. Potem podała jej satynowe pantofle, które Isabel kazała uszyć w warsztacie w Londynie, nie mówiąc dla kogo i na jaką okazję są przeznaczone. Elena majstrowała jeszcze chwilę przy spódnicy, wygładzając ją po bokach i wreszcie z nabożnym westchnieniem cofnęła się, by ocenić, czy wszystko wygląda jak należy.

- *Finito*. - Uśmiechnęła się z zadowoleniem. - Il Marchese to prawdziwy szczęściarz.

Isabel odpowiedziała niepewnym uśmiechem i nieświadomie

położyła dłonie na ledwo zaokrąglonym brzuchu.

Elena podeszła do niej i wzięła ją za rękę.

- Nic nie widać, Isabel. Nikt nie pozna waszego sekretu.

Sekretu? Więc tym była dla nich wszystkich ciąża? Zabrakło jej tchu. Emocje zaczynały dawać o sobie znać. Posłusznie usiadła na krześle, przy którym stała już Elena ze szczotką do włosów. Za oknem słychać było gwar rozmów. Widocznie paru gości już przybyło. Musiały się pospieszyć.

Wesele miało być skromne. Isabel nie zaprosiła nikogo poza matką, która od razu powiedziała, że to dla niej za daleko i nie przyjedzie. Miała co prawda przyjaciół w Londynie, ale nie chciała, by brali udział w ślubie na pokaz. Nie mogła powiedzieć im prawdy, bo nie opędziłaby się od pytań, a pewnie i wyrzutów. Nie miała na to siły.

Orlando musiał mieć podobne podejście, ponieważ wśród zaproszonych gości było tylko kilku jego kolegów z włoskiego oddziału Cassano Holdings, prawnik reprezentujący jego interesy, paru lokalnych dygnitarzy i personel zatrudniony w castello Trevente.

Z włosami uczesаныmi w luźny kok i wpiętymi w niego różyczkami Isabel wyglądała elegancko i dziewczęco. Z lustra, przed którym stanęła, patrzyły na nią poważne oczy, twarz miała lekko pobladała. Więc tak wyglądał dzień jej ślubu? Powinna się chyba cieszyć? Zamiast tego czuła się, jakby miano ją zaprowadzić na szafot.

A może się wycofać?

Miała wyjść za mężczyznę, w którym się zakochała i który nigdy nie odwzajemni jej uczuć. Kilka ostatnich tygodni spędziła na pospiesznych przygotowaniach do ślubu i umknęło jej to wszystko, nad czym naprawdę powinna się zastanowić.

Nie. Nie mogła go poślubić. Nie chciała żyć w związku bez miłości. To było zbyt wielkie poświęcenie i nie miał prawa od niej tego żądać.

Zabrakło jej powietrza i rozejrzała się bezradnie wokół.

- Czy mogłabyś mi przynieść szklanek wody, Eleno?

- *Sì, certo.*

Elena popatrzyła na nią wystraszona i po chwili wróciła

z wodą.

Isabel usiadła na łóżku, do którego miała najbliżej. Potrzebowała pomysłów, i to szybko. Jak na złość jej myśli przypominały teraz splątaną wełnę, z której nic sensownego nie dało się zrobić.

- Nie trzeba się denerwować. - Elena głaskała ją po ramieniu.
- Wszystko pójdzie świetnie.

Weź się w garść. Isabel przełknęła mały łyk wody, potem kolejny. Poczowała się odrobinę lepiej.

Poszukaj Orlando. Musiała mu wyjaśnić, że nie może za niego wyjść. Będzie wściekły. Trudno. Musiała to zrobić.

Ślubu nie będzie.

- Orlando... Il Marchese - zaczęła powoli. Wiesz, gdzie może teraz być?

Elena pokręciła głową.

- Może pamiętasz, kiedy go ostatnio widziałaś?
- Tata chyba z nim rozmawiał, ale to było rano.
- Gdzie to było? - Złapała ją za rękę, jakby od jej odpowiedzi zależało jej życie.

- Il Marchese kazał mu wyprowadzić samochód z garażu.

- Dokąd pojechał, Eleno? Przypomnij sobie, błagam.

- Powiedział, że na lotnisko.

Na lotnisko? Podpierając się rękami, Isabel wstała z łóżka.

- Miał, zdaje się, kogoś odebrać.

Albo sam wsiadł w samolot i był już teraz w drodze do Stanów.

Powinna się uspokoić. Dlaczego Orlando miałby ją zostawić? Przecież sam nalegał na ślub. Jednak ziarno paniki zaczęło już kiełkować na żyznym gruncie wątpliwości.

- Dziękuję ci, Eleno, na pewno masz rację. Jeśli pozwolisz, chciałabym na chwilę zostać sama.

Bębniąc palcami po kierownicy, Orlando raz po raz zerkał na zegarek. Za piętnaście trzecia. Dokładnie za kwadrans miał się rozpocząć ślub. Wsunie obrączkę na palec Isabel, która od tej pory będzie jego. Tymczasem wszystko sprzysięgło się przeciw niemu, a przez cholerny korek na drodze tkwił tutaj od dwu-

dziestu minut i na pewno się spóźni.

Piekło przywitało go tego ranka już o świcie, gdy zadzwoniła Astrid, mówiąc, że Nancy Spicer jednak nie przyleci do Trevente na ślub córki. Okazało się, że ani prywatny samolot, ani samochód, który miał ją zabrać na lotnisko w Londynie nie były już potrzebne. Pani Spicer zmieniła zdanie.

Powinien dać sobie z tym spokój na samym początku, ale był zbyt uparty, żeby pogodzić się z porażką. Wiedział, że obecność matki ma dla Isabel ogromne znaczenie, więc potajemnie wybrał się do Londynu, odwiedził Nancy Spicer w domu opieki i przekonał ją, żeby zechciała polecieć razem z nim do Włoch na ślub córki.

Nie mieli wiele czasu, ale powinni zdążyć, tak mu się przynajmniej wtedy wydawało. Niestety, problemy z kontrolą ruchu lotniczego opóźniły ich wylot i przez godzinę siedzieli w hali, czekając na pozwolenie z wieży.

Orlando skorzystał ze sposobności i zagadnął przyszłą teściową o wypadek, o którym opowiadała mu Isabel. Matka Isabel była zdziwiona, że w ogóle o tym wiedział. Potem go zrugowała, na końcu zaczęła się zarzekać, że nic nie powie. Orlando miał swoje sposoby, nie bez powodu miał opinię doskonałego negocjatora. Tak więc kawałek po kawałku, słowo po słowie wyciągnął ze staruszki wszystko, co chciał wiedzieć. Powiedział także, że obwinianie Isabel nie ma sensu i nikomu nie przynosi korzyści. Jego płomienna przemowa została przyjęta uprzejmą obojętnością, ale on był pewien, że z czasem Nancy przyjmie jego punkt widzenia.

Gdy wreszcie wylądowali w Le Marche, Orlando zapakował wózek Nancy do bagażnika, posadził ją z tyłu, upewniając się, czy aby na pewno jest jej wygodnie i mając nadzieję nadrobić stracony czas w drodze do Trevente, ruszył. Jego plan został unicestwiony zaledwie pięć minut później, gdy matka Isabel oświadczyła, że albo zwolni, albo ona wysiada. Nie miała zamiaru zginąć w wypadku tak jak jej mąż, świeć Panie nad jego duszą.

Orlando wyczerpany podróżą, nakłanianiem Nancy do wyprawy, sprzeczką na lotnisku, poddał się i zwolnił niemal natych-

miast. A teraz stali w korku w oczekiwaniu na cud. Orlando nawet zaczął się już zastanawiać, czy może nie wysiąść z samochodu i nie pokonać ostatnich dziesięciu mil pieszo, nawet z matką panny młodej na plecach, gdyby trzeba było.

Odczuwał zniecierpliwienie i strach, że to jeszcze nie koniec tego upiornego dnia, który z założenia miał być niczym więcej jak sielanką.

Sięgnął po telefon i wybrał numer stacjonarny, ale nikt nie podnosił słuchawki. Wszyscy pewnie byli już w ogrodzie i czekali tylko na niego. Telefony komórkowe nie działały, więc do nikogo z obsługi ani do Isabel też nie mógłby się dodzwonić.

Rzucił aparat na siedzenie obok, klnąc po cichu w języku, którego, miał nadzieję, matka Isabel, nie rozumiała.

Za nimi rozległ się jazgot klaksonów. Spojrzał w lusterko. Nancy Spicer po raz kolejny malowała szminką usta.

- Pośpiesz się, drogi chłopcze! Inaczej nigdy nie dojedziemy.

Isabel odetchnęła z ulgą, gdy Elena zamknęła za sobą drzwi. Była prawie trzecia. Lada moment miała się zacząć ceremonia. Pchnęła okno i wychyliła się, oceniając sytuację. Prawie wszystkie rzędy krzeseł były już zajęte. Do jej uszu dochodziły melodyjne dźwięki *Czterech pór roku* Vivaldiego grane przez kwartet smyczkowy, rozmowy gości, śmiechy i płacz niemowlęcia. Nie udało jej się natomiast wypatrzeć pana młodego.

Zamknęła okno i zaczęła się przechadzać po pokoju, potem usiadła na łóżku. W głowie miała kompletną pustkę. Dlaczego tak ją zabolalo, że mógłby zmienić zdanie? Sama też nie chciała tego ślubu. Powinna się cieszyć. To byłaby pierwsza rzecz, co do której oboje byli zgodni.

Tyle że logiczne rozumowanie nie mogło przekonać jej biednego złamanego serca, które tłukło jej się w piersi jak spłoszony ptak. Usiłowała zachować spokój, ale siedząc tutaj sama, w przepięknej sukni, niemalże bała się oddychać.

Dokuczała jej samotność, a ironia losu polegała na tym, że jedyną osobą, która mogła ją pocieszyć i uspokoić, był Orlando. Marzyła o tym, żeby ją przytulił i powiedział, że wszystko dobrze się ułoży. Powiedziałyby mu wtedy, że go kocha jak nikogo

na świecie. A on pocałowałby ją namiętnie. Tak jak tylko on umiał.

Musiała coś zrobić. Nie mogła tu siedzieć i czekać na pana młodego, który prawdopodobnie więcej się nie pojawi. Co za okropna sytuacja!

Podniosła się z trudem i zachwiała. Niepewnie stawiając kroki w nowych szpilkach, wyszła na korytarz. Musiała odetchnąć świeżym powietrzem i zastanowić się, co ma zrobić. Ostrożnie zamknęła drzwi. Na zewnątrz było cicho, tylko na dole dzwonił telefon. Nikt go nie odebrał i wkrótce dzwonek zamilkł. Nie chciała zejść na parter. Mogłaby się natknąć na Marię i Elenę. Nie zniosłaby ich współczujących spojrzeń i pewnie rozplakałaby się przy wszystkich. Zebrała spódnice z podłogi i spojrzała w górę. Wiedziała już, dokąd pójdzie.

Wieża była zawsze jej ulubionym miejscem na zamku, jedynym, które zachowało swój pierwotny charakter. W czasie remontu nie udało jej się tknąć, ponieważ potrzebne były dodatkowe zezwolenia. Potem Orlando zapomniał o tym albo może uznał, że w swoim oryginalnym kształcie wieża była o wiele ciekawsza.

Wdrapawszy się po schodach na samą górę, od razu wyszła na balkon. Powietrze było tu nieco chłodniejsze niż niżej z powodu odczuwalnych podmuchów wiatru. Na dole było wszystko to, z czym nie chciała się zmierzyć. Potrzebowała tej perspektywy. W końcu to jej życie i dobro jej dziecka były najważniejsze. Zresztą ludzie przecież nie umierali z powodu złamanego serca. To przejdzie, minie jak zły sen. A potem urodzi się dziecko i jej życie zacznie się na nowo.

Orlando zatrzymał samochód na podjeździe i wyciągnął z bagażnika wózek. Pomógł wsiąść Nancy, zabrał jej rzeczy. Starsza kobieta wyciągnęła w jego stronę obie ręce.

- Pomóż mi wstać, tych parę kroków mogę się przejść.

- *Sì, certo.* Ale ceremonia odbędzie się po drugiej stronie zamku. Może byłoby szybciej tam pojechać?

- I tak już jesteśmy spóźnieni. Jakie znaczenie ma parę minut więcej. Poza tym, jeśli mam ci oddać córkę, zrobię to na stoją-

co. Podaj mi łaskę, chłopcze.

Orlando zacisnął zęby i wysilił się na uśmiech. Gdyby to od niego zależało, ruszyłby sprintem, byle jak najszybciej zobaczyć Isabel. Tymczasem musiał się uzbroić w cierpliwość.

Gdy po kolejnych dziesięciu minutach dotarli wreszcie nad jezioro, powitały ich gromkie oklaski. Urzędnik, który miał udzielić im ślubu, podszedł i uściśnął mu dłoń. Zobaczył też Marię, która wyglądała na zaniepokojoną.

- Tak się cieszę, że wreszcie pan jest.

- Zajmiesz się signorą Spicer?

Oboje pomogli Nancy usiąść w pierwszym rzędzie.

- Gdzie Isabel?

- Była u siebie w sypialni - odparła Maria.

Uff, pomyślał. A gdzież miałyby być?

- Ale kiedy Elena zajrzała na górę kilka minut temu, pokój był pusty.

- Jak to?

- Zniknęła. Nikt z nas nie wie, dokąd mogła pójść. Przeszukaliśmy wszystkie pokoje.

Zniknęła? Tego właśnie się obawiał, tylko nie potrafił nazwać tych obaw. Błyskawicznie przeszedł na włoski i wydobył od Marii wszystkie informacje. Po chwili dołączyła do nich Elena. Isabel chciała odpocząć, tyle z tego zrozumiał, a potem straciły ją z oczu.

Zostawił je i pobiegł do zamku. Musiał odnaleźć Isabel. Nie mogła wyjechać. Pietro był na miejscu, wszystkie samochody stały w garażu, stwierdził, zaglądając do niego po drodze. Nie wybrałaby się przecież pieszo do miasta. To był spory kawałek drogi.

Wpadł do środka przez drzwi frontowe i biegając od drzwi do drzwi, nawoływał jej imię. W końcu zatrzymał się i zaczął nasłuchiwać.

- Isabel, gdzie jesteś? Odezwij się, do diabła!

Jego głos odbił się echem w głuchej ciszy grubych murów. Pognął schodami na piętro. Zajrzał do każdego pokoju. Nigdzie nie było po niej nawet śladu. W końcu wrócił do jej suit. Był tutaj pierwszy raz. Uważał, że potrzebowała czasu na przyzwy-

czajenie się do niego i do nowej sytuacji. Pożądanie trawiło jego ciało, ale powiedział sobie, że na seks przyjdzie czas później, gdy będą już po ślubie.

Kilka razy omal nie złamał swojego postanowienia, ale ostatecznie zwyciężała w nim myśl, że musi ją chronić i dbać o jej potrzeby, a nie swoje. Wiedział też, że nic poza seksem nie mógłby jej zaoferować. Zwykła przyzwoitość nie pozwalała mu wykorzystać jej zagubienia w nowej rzeczywistości. Za bardzo mu na niej zależało.

Tak, właśnie zależało. Zrozumiał to teraz i oszołomiony, usiadł na łóżku. Ukrył twarz w dłoniach, zastanawiając się, co robić. Oszukał ją przecież. Przez cały czas wmawiał jej, że wszystko co robił, było dla dobra ich dziecka. Ale to była nieprawda. Zwyczajnie nie mógł sobie wyobrazić życia bez niej. Isabel zasła mu za skórę, wdarła się w jego myśli już wtedy, na wyspie Jacamar. Jeśli teraz ją straci... Jeśli odeszła od niego, nie wybaczy sobie nigdy, że nie powiedział jej o tym wcześniej.

W przyływie nowej energii zeskoczył z łóżka i pomaszerował w stronę drzwi. Znajdzie ją i wezmą ślub. A potem... Potem zamierzał powiedzieć jej całą prawdę.

Isabel wciąż stała na balkonie. Z przymkniętymi oczami wyobrażała sobie, jak schodzi na dół, trzymając suknię, idzie pomiędzy rzędami krzeseł, a potem mówi wszystkim, że ślubu nie stety nie będzie. Ktoś musiał to zrobić. Świat się nie zawali. Takie rzeczy się zdarzały, ponieważ... życie było brutalne. Sam to powiedział.

Zerknęła jeszcze raz na dół i zobaczyła znajomą sylwetkę. Czyżby... Tak, to był Orlando! Szedł energicznym krokiem w kierunku pierwszego rzędu krzeseł. Pochylił się nad kimś i coś tłumaczył. Potem stanął wyprostowany z rękami opartymi na biodrach i popatrzył na zebranych gości, którzy wciąż pogrążeni byli w rozmowach, jakby nie dostrzegając całego zamieszania.

Wspięła się na palce, aby lepiej dostrzec jego wyraz twarzy? Był zły, czy może zmartwiony? Nie mogła tego stwierdzić. Dzieliła ich zbyt duża odległość.

Nagle podniósł głowę, jakby usłyszał jej myśli. Patrzył prosto na wieżę. Czy ją zobaczył? Może zdradziła ją suknia, przeziera- jąca bielą za wysokich tralek? Chwyła się dłonią jednej z nich i ze zdumieniem zauważyła, że fragment kamienia został w jej dłoni. Po chwili odłamał się kolejny, tym razem z balustrady.

Cofnęła się przerażona, patrząc, jak zabytkowa konstrukcja obraca się w gruz na jej oczach.

- Isabel! - Wołanie z dołu uświadomiło jej, że musiał ją wypa- trzyć na wieży.

Zdyszany wypadł na balkon i widząc, co się stało, chwycił ją za rękę.

- Nic ci nie jest? Cofnij się! Ostrożnie!

Pociągnął ją ku sobie i zamknął w ramionach. Pod policzkiem czuła mocno bijące serce. Zamknęła oczy. Znowu była bezpiecz- na.

- Co ty tu w ogóle robisz? - Patrzył na zrujnowaną część balu- strady. Wolał sobie nie wyobrażać, co by było, gdyby konstruk- cja zawałiła się w drugą stronę.

- Musiałam ochłonąć i pomyśleć.

- Pomyśleć? O czym? - zapytał, odsuwając ją nieco od siebie i próbując jej zajrzeć w oczy. Wciąż były rozszerzone strachem.

- Na przykład o tym, dlaczego nie pojawiłeś się na ślubie.

- O czym ty mówisz? Przecież jestem.

- Teraz już jest za późno, Orlando.

- Isabel, posłuchaj mnie. Jeżeli musisz mnie zrugać za spóź- nienie, w porządku. Biorę całą winę na siebie. Ale czy mogliby- śmy już zejść? Goście czekają.

- Nie, Orlando. Jest za późno, bo zdałam sobie sprawę, że nie mogę za ciebie wyjść.

O czym ona mówiła, do diabła? Zdenerwował się nie na żarty.

- Przecież się zgodziłaś. Wszystko jest gotowe!

Cofnęła się. Podmuchy wiatru unosiły zwiewną spódnicę. Wło- sy tańczyły wokół jej głowy poruszane silnymi podmuchami wia- tru.

- Przepraszam cię, naprawdę nie mogę.

- Przepraszasz mnie? - Podeszedł do niej i położył dłonie na jej nagich ramionach. - Nie wiem, co w ciebie wstąpiło, ale musisz

wziąć się w garść. Zejdźmy i zrobmy, co do nas należy.

- Nie - odparła tylko, czując, że nie ma siły mu tego wszystkiego tłumaczyć. Odwróciła się i chciała odejść, ale chwycił ją za rękę.

- To wszystko, co masz mi do powiedzenia? - Wściekłość wykrzywiła jego twarz. - Jeśli uważasz, że pozwolę ci odejść bez słowa wyjaśnienia, to jesteś w błędzie. Dlaczego, Isabel. Chcę to usłyszeć!

- Nie mogę, po prostu nie dam rady stać tam przed tymi wszystkimi ludźmi i brać udziału w fikcyjnej ceremonii.

- Co takiego? Nasz ślub nie będzie żadną fikcją. Jestem człowiekiem honoru i wielokrotnie zapewniłem cię o moim pełnym zaangażowaniu.

- Nie chodzi o zaangażowanie ani honor, Orlando.

- Więc o co chodzi?

- Chodzi o miłość - wyszeptała i natychmiast poczuła ulgę. Wreszcie wyrzuciła to z siebie.

- Miłość? Nie kochasz mnie, więc nie chcesz za mnie wyjść, o to chodzi?

- Nie, Orlando. Nie mogę za ciebie wyjść, ponieważ cię kocham.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Patrzył na nią, nie rozumiejąc ani słowa.

Kochała go? I nic o tym nie wiedział? A może raczej bał się o tym myśleć. Tak samo jak bał się myśleć o tym, co sam do niej czuł.

- Chwileczkę, bo nie rozumiem - usłyszał swój głos. Chłodny, autorytarny, nieprzyjemny. Zachowywał się jak ostatni dupek.

- Musisz to rozumieć. Nie mogę wyjść za ciebie, bo ty mnie nie kochasz. To nie byłoby w porządku.

- Miłość! - Świadomie włożył w swój ton maksimum szyderstwa i natychmiast siebie za to znienawidził. - Skąd ci przyszła do głowy miłość? Tego nie było w umowie.

Jej usta zadrżały, oczy zalśniły wilgocią.

- Naprawdę nie wiem, po prostu się zakochałam.

Gwałtowny ból rozdarł jego serce, jakby wbito w nie sto sztyletów. Odwrócił się. Nie był w stanie patrzeć w te czyste, ufne oczy.

- Uwierz mi, nie chciałabyś, żebym cię kochał. Miłość to tylko ból, smutek i cierpienie.

- Dlaczego tak myślisz?

- Bo to prawda. Miłość ma moc niszczycielską. Wiem coś o tym. Widziałem, jak zniszczyła moją matkę. Jej życie skończyło się w momencie, gdy zakochała się w ojcu. Miłość zniszczyła też Sopię.

- Sopię? Tę, która zginęła w pożarze?

- Tak. Zginęła przeze mnie.

- Jak to?

- Byliśmy parą. Spotykaliśmy się w tym magazynie. Byliśmy umówieni na randkę tej nocy, gdy mój ojciec postanowił zrealizować swój szatański plan beze mnie. Tego dowiedziałem się niestety po fakcie. Sophia czekała na mnie, ale zamiast mnie doczekała się mojego ojca podpalacza. Nie byłoby jej w tym ma-

gazynie, gdyby nie ja.

Isabel otworzyła usta, ale podniósł rękę.

- Zaczekaj, to nie wszystko. Kiedy zabrali Sophie, wróciłem do domu, bo nie miałem dokąd iść. Ojciec już tam był. Opijał sukces. Zrozumiałem, co się stało, i rzuciłem się na niego z pięściami. Gdyby nie pojawili się policjanci, którzy przyjechali powiedzieć mu o spalonym magazynie, zatłukłbym go gołymi rękami.

Spędziłem noc w areszcie. Tymczasem on złożył zawiadomienie, że to ja podpaliłem magazyn i doprowadziłem do śmierci Sophii. Powiedział, że jestem agresywny, co policjanci mogli potwierdzić, i że na pewno odziedziczyłem po matce problemy psychiczne.

- Och, Orlando, jak mógł być taki okrutny? - Isabel jęknęła z przerażenia.

- Nie udało mu się zrobić mnie w podpalenie i morderstwo. Znalazł się świadek, który widział go wchodzącego do magazynu na kilkanaście minut przed wybuchem pożaru. Został oskarżony, a mnie puścili wolno. Skorzystałem z okazji i uciekłem z Trevente na zawsze, a przynajmniej tak mi się zdawało. W dniu pogrzebu Sophii leciałem do Nowego Jorku. Czułem się jak ostatni tchórz. A teraz najlepsze Isabel. Wiesz, skąd wziąłem pieniądze na bilet? To były te same pieniądze, które zaoferował mi ojciec za spalenie magazynu. Pieniądze splamione krwią Sophii.

Powiedział jej całą prawdę. Nareszcie będzie go mogła ocenić, a nie spodziewał się pochwały. Ponoślił odpowiedzialność za śmierć młodej kobiety. Był tchórzem, który nie miał odwagi pójść na jej pogrzeb ani spojrzeć jej rodzicom w oczy. Bestią zdolną ukatrupić własnego ojca oraz kanalią, która skorzystała z brudnych pieniędzy.

Krótko mówiąc był nieodrodnym synem swojego ojca.

Mimo to ona go kochała. A on? Zamiast cieszyć się tym uczuciem, odrzucał je od siebie. Wziął ją za rękę i przyłożył do swojego serca. Uspokoił się i wszystko inne wokół niego przestało nagle mieć znaczenie.

Byli sami, jak wtedy na wyspie. Tylko on i Isabel. Teraz. Za-

wsze unikał terażniejszości jak ognia. Dotąd w jego życiu liczyła się tylko planowanie przyszłości i walka z przeszłością.

Kiedy powiedziała mu o ciąży, momentalnie poczuł się w obowiązku przejąć kontrolę, zadbać o każdy szczegół i nigdy nie pozwalać sobie poczuć tego, co przeżywa. Teraz czuł wszystko to, co przedtem wypierał. Wyznanie jej prawdy było bolesne, ale nie było końcem świata. Może powinien wreszcie zrobić to, co poradził jej kiedyś. Odpuścić.

Zawsze był sam i zawsze się bał. Ale teraz ona była przy nim. Miał z kim podzielić się strachem, bólem, upokorzeniem, ale też radością i... miłością.

Był gotów zaprowadzić w swoim życiu porządek. Zacząć żyć, chwycić chwilę i cieszyć się nią.

Wiatr ustał. Nastąpiła kompletna cisza. Tu na górze nie było słycać rozmów ani muzyki.

W skupieniu ujął jej brodę i spojrzał prosto w zielone szmaragdy oczu. Zatonął w nich momentalnie, czując, jak jego ciało odpręża się, otwiera na nowe, nieznane mu wrażenia. Uczucia przepływały przez niego, a on nie odpychał ich od siebie, jak to miał w zwyczaju. Powoli zanurzał się w nieznanej, przejmującej go strachem, ale i cudownie przyjemnej otchłani zwanej miłością. A wszystko dzięki niej. Odważnej, dumnej i oszałamiająco pięknej Isabel. Musiał jej o tym tylko powiedzieć.

Dotknął miękkich warg i rozdzielił je językiem. Wydało mu się, że chce go odepchnąć, ale nie. Przywarła do niego całym ciałem i zarzuciła mu ramiona na szyję. Słodkie westchnienie wydarło się z jej ust.

Nie mogła się mu oprzeć. Teraz ani nigdy. Nawet gdyby to miał być ich ostatni pocałunek, po którym Orlando powie jej, że to koniec. Że wszystko przemyślał i zgadza się z nią. Nie mogli być razem, bo on nic do niej nie czuł.

Ale tym razem było inaczej. Pocałunek był czuły, miękki, delikatny i stopił jej serce w parę sekund. Nie wiedziała już, co ma myśleć.

- Chodźmy - szepnął, patrząc na nią tak, jak patrzy zakochany mężczyzna. Przeczucie nie mogło jej zmylić kolejny raz. Nagle poczuła, że jej uczucia wystarczy na nich oboje, a wkrótce

troje, i nie powinna się wszystkim martwić na zapas.

Zbiegli schodami do sypialni, gdzie Orlando w pośpiechu przebrał się. Isabel próbowała doprowadzić do porządku włosy, co udało jej się tylko częściowo.

Na ich widok ożywione rozmowy ucichły. Kroczyli niespiesznie, delektując się pełnymi podziwu spojrzzeniami. Wyglądali oboje jak z obrazka.

Elena pomachała do Isabel. Roześmiane oczy Marii i Pietra dodały jej odwagi. To była jej przyszłość. Ten mężczyzna, który szedł obok niej, trzymając ją pewnie za rękę. Ci ludzie zebrani tutaj i życzący jej jak najlepiej. I ktoś jeszcze...

- No wreszcie - usłyszała znajomy głos.

- Mamo! - Wzruszenie odebrało jej mowę. - Przyjechałaś?

- A jak ci się zdaje? - Matka podniosła się, wspierając na ławce. - Nie co dzień wydaje się córkę za męża. Myślisz, że przepuściłabym taką okazję? Dziękuję ci, chłopcze, że mnie podrzuciłeś. - Zerknęła na Orlanda i posłała mu szelmowski uśmiech.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odpowiedział i skłonił się szarmancko.

Isabel pochyliła się i ucałowała matkę w oba policzki.

- Dziękuję. Nie masz pojęcia, ile to dla mnie znaczy.

- Nonsens - powiedziała Nancy, ale jej policzki zaróżowiły się ze wzruszenia. - Jeśli chcesz komuś podziękować, to jemu. - Popatrzyła jeszcze raz na Orlanda i uśmiechnęła się. - To jego sprawka.

- Naprawdę?

Teraz zrozumiała. To dlatego wyjechał z samego rana i dlatego się spóźnił. Wspięła się na palce i pocałowała go prosto w usta.

- Dziękuję - wyszeptała.

Nachylił się, by nikt nie słyszał.

- Podziękujesz mi później.

- No, dzieci, pora zacząć ceremonię - zarządziła Nancy.

EPILOG

Motorówka, terkocząc, zbliżała się do lądu.

- Signor Orlando. Witamy na Jacamar. Długo pana nie było.

Krzepki mężczyzna chwycił rzuconą linę i okręcił ją mocno wokół palika.

- *Grazie*, Miguel.

Orlando wyskoczył na brzeg i uściskał dawno niewidzianego menedżera.

- Jak interesy?

- W porządku.

- To właśnie chciałem usłyszeć. - Orlando zadowolony poklepał Miguela po plecach.

- Widzę, że ma pan wyjątkowych gości - powiedział Miguel.

- Tak jest.

- Nancy, może najpierw ty? - Podał dłoń teściowej.

Miguel ruszył się z miejsca i po chwili Nancy stała na pomoście, rozglądając się dookoła.

- Tylko nie wrzućcie mojej walizki do wody.

- Nie ma mowy, droga pani. - Miguel uklonił się.

- Moją żonę już chyba znasz, prawda?

- Tak. Dzień dobry, panno Spicer, to znaczy... signora Cassano - poprawił się.

- Isabel, tak będzie łatwiej - uśmiechnęła się do niego.

Miguel wychylił się w stronę łodzi.

- A to kto?

Isabel podniosła nosidło, w którym znajdował się najmłodszy członek rodu Cassano.

- To Nico.

- Coś mi mówi, że chciałby już wejść na ląd. Chodź do mnie, synu - powiedział i wziął od Isabel nosidło. Orlando pomógł jej wyjść z łodzi.

To niesamowite, pomyślała Isabel. Była tu zaledwie rok temu

i pamiętała dokładnie ten moment, gdy Orlando wyciągnął do niej rękę, a ona postawiła nogę na tym samym pomoście. W tak krótkim czasie jej życie zmieniło się o sto osiemdziesiąt stopni.

Uśmiechnęła się do swojego męża, który zabawiał Nica. Czyż nie byli cudowną rodziną?

- Miałeś rację, potrzebne nam były wakacje - powiedziała, wystawiając twarz na kojąco ciepłe promienie karaibskiego słońca.

- Ty chyba najbardziej ich potrzebowałaś. Sukces Spicer Shoes to twoja zasługa.

- Bez ciebie nie dałabym sobie rady, wiesz przecież.

- Po prostu dobrze nam się razem pracuje.

- I nie tylko. - Isabel roześmiała się i cmoknęła męża w policzek.

- W przyszłym roku będziemy mogli za to wznieść toast winem z Trevente.

- Z tego jestem najbardziej dumna. Posiadłość rozkwitła dzięki tobie.

To była prawda. Orlando zrobił nie tylko remont na zamku. Z czasem odrestaurował także zabytkową wieżę, zainstalował maszt i wreszcie mieli na zamku sygnał. Zajął się winnicą... Mogłaby długo wymieniać jego zasługi. Największą z nich była jednak przemiana, jaką przeszedł sam Orlando. Gdyby nie to, nigdy nie dowiedziałyby się, że ją kocha, nie wyszłyby za niego za mąż i być może dziś mieszkałyby w Londynie z dzieckiem, a on podróżował po świecie.

- Jestem ci taka wdzięczna, że nie masz pojęcia.

- Ale masz pojęcie, jak bardzo cię kocham?

- Tak, chyba tak - odparła i rozchyliła usta.

Nie mógł odrzucić tak oczywistego zaproszenia.

Oderwali się od siebie dopiero, słysząc głośnie kwilenie.

- *Scusi, Nico.* - Orlando złapał synka za wyciągniętą w jego stronę rączkę i pocałował ją. - Musiałem pokazać twojej mamie, jak bardzo ją kocham.

Tytuł oryginału: The Shock Cassano Baby
Pierwsze wydanie: Harlequin Mills & Boon Limited, 2016
Redaktor serii: Marzena Cieśla
Opracowanie redakcyjne: Marzena Cieśla
Korekta: Hanna Lachowska

© 2016 by Andie Brock
© for the Polish edition by HarperCollins Polska sp. z o.o., Warszawa 2017

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiegokolwiek formie.

Wydanie niniejsze zostało opublikowane w porozumieniu z Harlequin Books S.A.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne.

Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych - żywych i umarłych - jest całkowicie przypadkowe.

Harlequin i Harlequin Światowe Życie są zastrzeżonymi znakami należącymi do Harlequin Enterprises Limited i zostały użyte na jego licencji.

HarperCollins Polska jest zastrzeżonym znakiem należącym do HarperCollins Publishers, LLC. Nazwa i znak nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.

Ilustracja na okładce wykorzystana za zgodą Harlequin Books S.A.

Wszystkie prawa zastrzeżone.

HarperCollins Polska sp. z o.o.
02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1B, lokal 24-25

www.harlequin.pl

ISBN 978-83-276-3401-6

Konwersja do formatu MOBI:
Legimi Sp. z o.o.

Spis treści

Strona tytułowa
Rozdział pierwszy
Rozdział drugi
Rozdział trzeci
Rozdział czwarty
Rozdział piąty
Rozdział szósty
Rozdział siódmy
Rozdział ósmy
Rozdział dziewiąty
Rozdział dziesiąty
Rozdział jedenasty
Rozdział dwunasty
Epilog
Strona redakcyjna